Nr. 25. Warszawa, dnia 21 (9) Czerwca 1890 r. Rok X.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szanownym abonentom naszym przypominamy termin odnowienia kwartalnej i półrocznej przedpłaty.

POLITYKA.

PRZYMIERZE NIEMIECKO-FRANCUSKIE.

Według niedawnych zapewnień osób, które nietylko znają, ale wytwarzają układ stosunków politycznych, nigdy widnokrąg Europy nie był pogodniejszym. Tymczasem zaledwie „przyjacielskie“ stosunki poruszono w dwu parlamentach, niemieckim i austryackim, natychmiast ukazały się wielkie i ciemne chmury. W Niemczech minister wojny, żądając od przedstawicieli narodu 18 milionów marek, zapowiedział, że smok militaryzmu wkrótce szerzej otworzy swą paszczę; w Austryi — powtórzyło się zupełnie to samo: po 11 milionach guldenów otrzymanych ma nastąpić niezadługo potrzeba „daleko większej“ ofiary. Naturalnie olbrzymie te wydatki usprawiedliwiane są niepewnością i grozą położenia, przeciw któremu nie znaleziono dotąd innego środka ubezpieczającego oprócz oręża.

Nie znaleziono, ale poszukiwanie nie ustaje. Za źródło strachu, za kolebkę „chmur“ uważaną jest Francya, która nie wyrzekła się myśli odwetu za klęski i straty poniesione w ostatniej wojnie. Otóż cały dowcip zwolenników pokojowego załatwienia sprawy w Niemczech wysila się na wytłomaczenie jej, że ona nie ma ani historycznej, ani politycznej racyi w domaganiu się zwrotu postradanych prowincyj i mogłaby bez obawy swego honoru przystąpić do zgody. Niedawno starał się ją o tem przekonać w broszurze Stoffel, obecnie podejmuje to samo zadanie dymisyonowany pułkownik bawarski Lissignolo w książce p. t. *Przymierze niemiecko-francuskie*.

Głównym jego argumentem jest twierdzenie, że Alzacya i Lotaryngia zostały wydarte państwu niemieckiemu siłą gwałtu i rabunku. Powołuje on się na świadectwo historyków francuskich: Lacretelle'a, Voltaire'a, Rousseta, wreszcie Saint-Beuve'a. Tak np. pierwszy z nich pisze: „Tym sposobem (przez zdradę, napaść i gwałt) otrzymała Francya piękny kawał ziemi i twierdzę, których wartość wkrótce oceniono. Bolesnem jest wszakże, iż postępowania francuzów nie można objaśnić inaczej, jak słowami Fr. Rabutina: „byliśmy mocniejsi.“

Dowodzi dalej autor, że idea odzyskania Alzacyi i Lotaryngii przez Niemcy nie jest ani tak niesłuszną, nienaturalną, niesłychaną i nową, jak francuzi mniemają. Już na kongresie ryświckim (1697) chciał Ludwik XIV dobrowolnie oddać wszystkie od pokoju w Nymwedze dokonane nabytki łącznie ze Strasburgiem i Luksemburgiem, ale cesarz Leopold I żądał więcej. Toż samo, z pewną zmianą, powtórzyło się na konferencyi w Hadze (1709). Co Francya Ludwika XIV — mówi autor — ofiarowała wówczas dla osiągnięcia pokoju, to jako jego warunek nie może być sromotnem dla Francyi obecnej. Niemcy również nie wyrzekli się myśli odzyskania Alzacyi i Lotaryngii, jak dowodzą obrady kongresu wiedeńskiego. Zresztą utrata dzielnic jest zwykłym wynikiem nieszczęśliwej wojny dla każdego państwa. Przedawnienie, na które francuzi powołują się, niema tu żadnej wagi, gdyż stanowi jedynie wynalazek prawa cywilnego. Zarówno polityka, jak historya nie zna przedawnień. Rozumna etyka wymaga dotrzymywania umów, nawet niekorzystnych; skoro one zaś zostały raz złamane, obie strony powracają do zasady: co wolno było jednej, wolno jest drugiej. Nikt nie chce ćwiartować lub osłabiać dawnej Francyi, ale posiadanie Alzacyi służy jej tylko do nasycenia dumy i jako pokusa do owładnięcia całą granicą Renu, którego pobrzeże od tysiąca lat jest dziedzictwem niemieckiem. Tak rozumowano w r. 1815 i wtedy już Alzacya przeszłaby do Austryi, gdyby nie opór Prus.

Lissignolo chwali dalej usposobienie pokojowe francuzów. W ciągu ostatnich lat dwudziestu święcili oni wielkie tryumfy pracy, zwłaszcza na wystawie, która znowu uczyniła Paryż ogniskiem świata. Wobec tego można zapytać: jak wysoko jeszcze Francya chce się wznieść w podziwie innych narodów a nawet w szacunku swych przeciwników? Posiada siłę, bogactwa, sławy i wawrzynów zdobyła w Europie już dosyć, czegoż więc pragnie? W tem szczęściu nie pozostaje jej nic innego, jak zapomnieć uraz do sąsiadów i zawrzeć z nimi przymierze.

Rozumie się, że ten sojusz papierowy i jednostronnie podpisany ani na chwilę nie powstrzyma Francyę i Niemcy od mnożenia i udoskonalania maczug, któremi zamierzają się kiedyś uderzyć. Czy do tej stanowczej rozprawy kiedykolwiek przyjdzie — to inna kwestya, w każdym razie dziś niemożliwem byłoby dla francuzów rozstanie się z nadzieją odwetu, chociażby on nigdy nie nastąpił. Jest to dla nich potrzebą nie tyle polityczną lub ekonomiczną, ile psychologiczną, rodzajem patryotycznej prymki, którą żują ciągle, unikając jednocześnie wojny i wyzyskując pokój. Można ich bardzo łatwo namówić do tego, ażeby nie podejmowali walki, ale trudno, ażeby o niej nie myśleli, a zwłaszcza nie gadali.

Broszura Lissignola ma przytem jeden punkt bardzo słaby: historya nie zna przedawnień prawnych, ale zna przedawnienia faktyczne. Do kogo zabrane Francyi dzielnice kiedyś należały, o to mniejsza, ale do kogo chcą teraz należeć to racya rozstrzygająca, o której autor zapomniał.

Z AUSTRYI.

Zamknięcie sejmu czeskiego. — Otwarcie delegacyi austryacko-węgierskich. — Przemowy prezydentów. — Mowa tronowa. — Proch bezdymny. — Cesarz o ugodzie czesko-niemieckiej i o prawie indemnizacyjnem.— Broszura Ebenhocha.

Po długich i gorących przeprawach, w ostatniej niemal godzinie obrad, sejm czeski uchwalił podział rady szkolnej w duchu

warunków ugody. Większość tedy jego stanęła tem samem na gruncie ugodowym, lecz dziś nawet hr. Taaffe rozumie i wypowiada, że zanim cała treść układu urzeczywistnioną zostanie, minie lat trzy lub cztery. Ostatnie dnie obrad były burzliwe, a to, co mówił Rieger w obronie własnej osoby i sprawy, żywo przypominało ostatnie słowa ustępującego Tiszy. I on żalił się na groźby, które zewsząd go dochodzą, i on przypominał narodowi swe zasługi, i on spotkał się z ironią i z nienawiścią. Porównał się sam z Hussem, do którego stosu stara kobieta dorzuciła drewna. „Jak pan śmiesz porównywać się z Hussem?“—przerwał mu poseł Vaszaty. „Nie szukałem nagrody u narodu—kończył Rieger — i teraz jej nie szukam. Pragnąłbym go tylko ostrzedz, aby się uwieść nie pozwolił. Wiele ofiar uczyniłem dla ludu, lecz z honoru i ze słowa mego ofiary uczynić nie mogę.“ Uchwała większości oszczędziła mu tego; a hr. Clam Martinic w obliczu Izby całej starego wodza politycznego uścisnął i ucałował. Uścisk magnata feudalnego drobną jest pociechą dla patryoty, który stracił zaufanie i sympatyę narodu.

Tuż po zamknięciu obrad sejmu czeskiego zjechały się delegacye, tym razem w Budapeszcie. Podczas gdy węgierska jednomyślnie niemal obrała przewodniczącym hr. Ludwika Tiszę, w austryackiej, wskutek nieobecności Smolki, bawiącego na kuracyi w Badenie, położenie było trudnem. Zwyczaj parlamentarny wymagał, by na tę godność powołano Chlumeckiego, zastępcę Smolki w Radzie państwa; nieodpowiedniem by jednak było, aby delegacyę parlamentu o większości autonomicznej reprezentował wybitny członek stronnictwa niemiecko-liberalnego. Większością jednego głosu obrano tedy ks. Jerzego Czartoryskiego, czem jakoby stwierdzić chciano (tak objaśniają pisma wiernokonstytucyjne), że polacy są najsilniejszem dziś stronnictwem w Astryi. Zarówno przemowy obu prezydentów do cesarza, jak mowa tronowa, były tego roku dość bezbarwne; znać w Austryi unikać pragną słów drażniących. Ks. Czartoryski zaznaczył, że delegacye starać się będą uczynić zadość sprzecznym wymaganiom potęgi wojskowej i gospodarczej; bez wahania uchwalą one wydatki, niezbędne dla zachowania powagi państwa na zewnątrz i całkowitej jego obronności. Uczynią to, pragnąc, by utrwalić i zabezpieczyć pokój, któryby pozwolił wreszcie uregulować opłakane finanse Austryi.

Hr. Tisza wspomniał wprawdzie o pewnych objawach, pojawiających się w stosunkach międzynarodowych i w wewnętrznem życiu państw ościennych, a wymagających od rządu największej czujności, taktu i stanowczości; stwierdził też dalej, że pomimo utrwalonych stosunków z sojusznikami, najpewniejszą porękę bezpieczeństwa Austrya znaleźć może we własnej jego sile, lecz odpowiedź cesarza starannie omija drażliwe te punkty. Monarcha oznajmia, że w krajach bałkańskich nie nastąpiły zmiany istotne i że w działaniu wspólnem ze sprzymierzeńcami, pełnem zaufania, upatruje podporę usiłowań własnych.

Większą doniosłość przypisać należy ustępom, odnoszącym się do podniesienia siły zbrojnej. Rozwój siły zbrojnej odpowiadać musi — według cesarza — stanowisku, jakie Austro-Węgry zajmują w Europie obok państw złączonych z niemi politycznie. Rząd w uwzględnieniu finansów ograniczył się do wymagań najniezbędniejszych, a jednak obok przestrzegania zwykłych środków ostrożności i bezpieczeństwa pomyśleć wypadnie o skorzystaniu z postępów techniki na polu sztuki fortyfikacyjnej.

O ile mowa tronowa unikała wyraźnych akcentów w zakresie polityki zewnętrznej, o tyle „cesarz i król“ zadziwił delegatów stanowczem wystąpieniem w sprawach polityki wewnętrznej. Wiadomo, że po ukończeniu urzędowego otwarcia delegacyj następuje „cercle,“ w którem monarcha przemawia do każdego niemal z delegatów, wyjawiając wybitniejszym z nich pogląd własny na sprawy bieżące. Rzecz naturalna, że z czeskimi, Plenerem, Thunem i Riegerem, mówił o ugodzie czesko-niemieckiej. Oświadczył on wobec Plenera i Chlumeckiego, że w sprawie tej oczekuje na pewno rezultatów pomyślnych. Plener nie przeczył, że ostatecznie ugoda urzeczywistnioną być może, zwracał jednak uwagę cesarza na fatalne stosunki obecne i na niebezpieczeństwo pogorszenia się ich w jesieni. Mimo to cesarz, przystępując do Riegera, któremu wyraził uznanie, zauważył, że układ do skutku przyjść musi. Stanowczość zwrotu tego wydawać się może ryzykowną wobec przebiegu obrad w sejmie czeskim. Sądzić by można, że cesarz w interesie zachowania powagi własnej winien był ograniczyć się do wypowiedzenia życzeń, tem bardziej, że stronnictwo młodo-czeskie nieraz już dowiodło braku poczucia dynastycznego.

Nie mniej doniosłą była rozmowa z Bilińskim o indemnizacyi. Cesarz stwierdził, że państwo Galicyi darowizny nie przyznało, lecz że ona miała prawo żądać takiego uregulowania sprawy. Tem samem wytrącił z rąk stronnictwa wiernokonstytucyjnego broń, której zamierzano użyć przy najbliższych wyborach w krajach alpejskich i w Tyrolu przeciw posłom należącym do prawicy. Przeciw zarzutowi temu zwrócił się też konserwatysta Ebenhoch w broszurze p. t. „Machinacye stronnictwa niemieckiego liberalnego.“ Wykazuje on, że stronnictwo niemiecko-liberalne pierwotnie głosować zamyślało za ugodą indemnizacyjną w tej nadziei, iż pozyska sobie grupę posłów polskich i wraz z nią utworzy nową większość w parlamencie, skierowaną przeciw Czechom. Słowa Jaworskiego: „Z wami pracować gotowiśmy, pod wami nigdy!“— wypowiedziane przy dyskusyi indemnizacyjnej, oznaczały rozbicie odnośnych układów. Liberałowie zaś, widząc, iż oczekiwania ich nie spełniają się, głosowali przeciw ugodzie, aczkolwiek wewnętrznie sprawiedliwość jej uznawać musieli.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Charakterystycznem znamieniem obecnej ciszy politycznej jest fakt, że najgłośniej odzywa się w Europie od tygodnia serbska... trzoda chlewna. Po napomnieniach hr. Kalnokego zamknięto dla niej granicę austro-węgierską; ponieważ zaś jest to pierwszorzędny produkt wywozowy Serbii, więc naprzód wysłała ona notę, a następnie rzuciła klątwę na towary austryackie. Ludność postanowiła ich nie kupować i zerwać ze złymi sąsiadami stosunki handlowe. Świnie już nieraz odgrywały ważną rolę w polityce; dość przypomnieć manewry Bismarka, który zamykał przed niemi granicę wschodnią, ile razy tylko chciał podnieść cenę swoich. Dla Serbii stanowią one poniekąd kwestyę życia. Jedna z gazet wiedeńskich wyraziła się nieprzyzwoicie, ale trafnie, mówiąc: „Kto bije świnie serbskie, uderza tamtejszych radykałów.“ Jest to o tyle słusznem, że rząd, pozostający obecnie w ich ręku, dyskredytuje się wobec narodu, gdy nie umie otworzyć zbytu dla trzody chlewnej.

---

1)

Taki się był urodził.

Studyum z natury.

— Przy drzwiach stój, łotrze jakiś!

— Niech pan popatrzy, oto jest ten kandydat na szubienicę. Nic nie pomoże—Skarbiewski.

— To panie, ojciec — najzacniejszy człowiek. Matka— św. p. dziecię moje. I takiego to draba przykładne stadło wydało na świat.

W ten sposób dziadek zwykł był przedstawiać swego wnuka, piętnastoletnie chłopię. Goście różni się trafiali, ale zazwyczaj nie w smak była im ta otwartość dziada Nagolewskiego. Nie chcieli mu wierzyć i przeczyli niekiedy. Próbowali usprawiedliwiać chłopca i obiecywali za niego poprawę. Uspokajali i przypominali własną burzliwą przeszłość.

— Nic nie pomoże — odpowiadał starzec tonem głębokiego przekonania — szubienicznik to, a pan może byłeś wisus. I mnie, Boże mu odpuść, ojciec bijał, bo to, panie, psie figle były w głowie. Ale to, panie, to nie katolik jest. Czy pan wiesz, co ten urwis kiedyś zrobił?

Tu zaczynały się opowiadania o sprawkach chłopaka, cechujących niewątpliwie złośliwość i okrutność dziecka, a zdradzających niedziecięcy spryt w wynajdywaniu sposobów, którymi by można komuś dokuczyć.

— Bo to widzi pan, naprzykład, moja żona gospodyni, panie, zawołana. No i w ptactwie lubuje się, na cały powiat kury jej znane. Czubatkę, panie, miała. Pryncessa, panie, nie kura. Łeb, jak u prymadonny, panie. Co dzień ją oglądała, bo to, panie, i ciekawość, co też zniesie taka grandessa. Ten kalwin zaraz to pomiarkował. Nic nie pomoże. Szybę zbił i szkłem biedaczkę z odwrotnej strony nakarmił.

— Patrzymy, panie, kurczątko jakieś osowiałe. Jeszcze żona, ot baba, zawsze na swoje tłomaczy. Turbuje się — powiada — pewnie na nią czas.

— Poszła, panie, i ogląda. A no pokalecyła sobie *kciuki*, a ten łotr ino z za węgła podglądał i radował się, bo to się jeszcze raduje, pryncypał.

— Biłem, że to panie myślałem, kości połamię. Nic nie pomoże. Czubatka do wieczora zdechła, a gospodyni ze trzy tygodnie potem się jątrzyła.

Chłopak tymczasem stał spokojnie u drzwi. Stał, bo się bał; ale podczas opowiadania, czasem aż mu się oczy do wspomnień śmiały. Kiedyindziej usta otwierał, jakby opowieść chciał poprawiać, szczegółami uzupełniać. Niekiedy, zgniewany czemś, łypnął oczami zbójecko, nasrożył się jakby siedem wsi spalił. A wtedy dziadek pytał:

— No cóż, może byś noża na mnie dobył?

Bo chłopiec pasyę miał jakąś do błyszczącego żelaza i zawsze nóż wyostrzony można było przy nim znaleźć. Odezwać się jednak nie śmiał, zelektryzowany surowym wzrokiem dziadka. Niechby tak przecież babka teraz zaprotestowała, że jej się palce nie jątrzyły, bo ona ma zdrową krew, i nigdy jej się żadne bolączki nie robią. Niechby dziadek dla dowiedzenia prawdy słów swoich ku niej się zwrócił, i chłopca z oczu spuścił, a pewnie i on by języka nie wstrzymał.

— Bo dziadek łże — odpowiadał tym samym tonem, jakim do niego przemawiano— sam szybę wybił packą na muchy, a teraz na mnie zgania.

Dziadek takich sprostowań naturalnie nie znosił. Chciał karcić, ale Kazio, stojąc przy drzwiach, miał zapewniony odwrót. Próżno stary puszczał się w pogoń; napotykał tylko poprzewracane stołki w pokojach, skowyczące psy i rozpierzchające się ptactwo na podwórzu. Bo krnąbrny banita mając zapewnioną chłostę za powrotem do domu,

W Bułgaryi zaszła częściowa przemiana rządu: Stransky i Sułabaszow złożyli teki ministeryalne. Prasa jednak miejscowa upewnia, że fakt ten nie posiada większego znaczenia i nie będzie miał poważniejszych następstw.

Pomiędzy Anglią i Niemcami stanął wreszcie układ, dotyczący zaborów afrykańskich: pierwsza odstąpiła Helgoland, drugie sułtanat Witu. Kto na tym handlu zyskał, nie wiadomo, gdyż nawet szczegółowe warunki umowy nie są znane.

Projekt powiększenia siły zbrojnej Niemiec (o 18,000 ludzi) w komisyi sejmowej przeszedł dzięki poparciu ze strony ultramontanów i ich przyczepki polskiej. Windhorst mydlkował, wykonywał lisie skoki, osłabiał projekt poprawkami, ale ostatecznie zwerbował mu w swem stronnictwie tylu zwolenników, ilu potrzeba było do zwycięztwa przy głosowaniu.

W ospałym od pewnego czasu geszefcie wyprzedawania ziemi ojczystej niemcom przez „patryotów" poznańskich nastąpił znowu ruch ożywiony. Między innymi sprzedali swe dobra komisyi kolonizacyjnej p. Ludwik Graeve, poseł polski do obu sejmów, oraz p. Ignacy Łukomski; razem przeszło do niemców 16,831 morgów ziemi. Łatwiej nam jeszcze zrozumieć niegodziwe samolubstwo tych panów, niż bezczelność adwokatury, broniącej „posłannictwa" ludzi tej sfery.

Ks. Orleański nie spodziewał się może, iż p. Carnot każe mu tak długo za „czyn bohaterski" siedzieć w kozie; ale napewno nie oczekiwał, że jego męczeństwo będzie miało tak krótką i cichą sławę. Bez szumu odstawiono go do granicy i zapomniano o nim natychmiast.

Belgia wre walką po zwycięztwie klerykałów; wolnomyślni nie składają broni, lecz wypowiadają zaciętą wojnę przeciwnikom i rządowi.

Straszliwe widmo cholery azyatyckiej wyłania się z Hiszpanii coraz wyraźniej. Zaprzeczenia nie pomogły, trzeba było wyznać prawdę, bo zaraza zabiera liczne ofiary. Francya już się odcięła kordonem od Hiszpanii, inne państwa przedsięwezmą również środki ostrożności.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

OŚMIOGODZINNY DZIEŃ ROBOCZY W ANGLII.

„Osiem godzin pracy dziennie" — oto hasło, które skupiło w sobie chwilowo wszystkie życzenia klasy robotniczej w Europie i Ameryce. Odnośna zmiana powinna być wprowadzona drogą prawodawczą, pod naciskiem stanu czwartego, uorganizowanego wszędzie w odrębną partyę polityczną — oto forma, w jakiej powyższe dążenia klasy robotniczej obecnie się krystalizują.

Jak wiadomo, najpotężniejszą organizacyą klasy robotniczej w Anglii są słynne Trades-Uniony, istniejące od kilku stuleci. W odpowiedzi na cały szereg praw średniowiecznych, które — mając na celu zabezpieczenie „rąk" kapitałowi — upośledzały pracę i uważały każdy związek robotników w celu podwyższenia płacy za karygodny, utworzyły się związki, które dążyły wszelkiemi drogami do polepszenia warunków bytu klasy robotniczej. Napróżno rząd angielski używał tyranii, aby je zgnieść. Pokrywały one olbrzymią siecią całą Anglię. To też po długiej i bezowocnej walce musiał je przyznać za instytucyę legalną w r. 1825. Od tego czasu Trades-Uniony bardzo wiele zrobiły dla podwyższenia płacy, dla ukształcenia i zabezpieczenia starości robotników, zapomocą szkół, czytelni, kas itd. środków. Ale z drugiej strony starannie wystrzegały się one wszelkich obszerniejszych zadań i celów: zapominały zupełnie o istnieniu kwestyi społecznej i, naturalnie, wyrzekały się jej rozstrzygnięcia. Przypuszczając zaś do swego łona tylko takich robotników, których byt ekonomiczny był zapewniony, pozostawiły one po za sobą jeszcze piątą klasę społeczną, zupełnie bezsilnych nędzarzy, rzuconych na łup nieograniczonego wyzysku, a same zamieniły się na fortecę t. zw. arystokracyi pracy. Taktyka Trades-Unionów polegała dotychczas na walce czysto ekonomicznej, którą toczą o codzienne swe interesy, z patronami; o uorganizowaniu się w odrębną partyę polityczną nietylko dla pochwycenia władzy, ale nawet wprost w celu zdobywania ustępstw na drodze prawodawczej dotychczas mowy nie było. Pomimo wszakże, iż Trades-Uniony teoretycznie wyrzekały się „polityki," praktycznie często bardzo musiały się do niej zwracać: one to właśnie przyczyniły się w znacznym stopniu do rozwoju prawodawstwa fabrycznego zapomocą bezwiednej walki politycznej.

Tymczasem partya demokratyczno-społeczna angielska, która utworzyła się po za Trades-Unionami coraz bardziej zaczyna przenikać do nich ze swą propagandą, z drugiej zaś strony ostatnie przesilenia odbiły się na nich nader boleśnie i okazały poniekąd całą bezsilność używanych przez nie środków, tak, że ostatnimi czasy Trades-Uniony poczyniły kilka kroków, które każą przypuszczać, iż w niedalekiej przyszłości i one porzucą drobne utarczki, które dotychczas w oddzielnych rzemiosłach z kapitałem toczyły i że wstąpią na pole szersze. Obecnie istnieje w tych związkach głucha nienawiść pomiędzy zwolennikami starych tradycyj, hołdujących obecnym porządkom i nowatorami, którzyby chcieli z dotychczasowej organizacyi zawodowej utworzyć organizacyę polityczną klasy robotniczej, tj. oddzielną partyę.

Większa płaca i krótsza praca nie jest dla tych nowatorów ostatecznym celem dążeń — lecz pierwszym tylko— a bezrobocie nie stanowi jedynego środka, gdyż główną wagę przypisują oni pod tym względem agitacyi politycznej i działalności parlamentarnej.

Konserwatywna część Trades-Unionów ma swą przedstawicielkę w „komisyi parlamentarnej," składającej się z kilkunastu deputowanych robotników, którzy nie prowadzą żadnej samodzielnej polityki, lecz łączą się zwykle z jakąś partyą mieszczańską. Dotyczas z łona tej komisyi nie wyszedł ani jeden nawet projekt znaczniejszej reformy. Na czele jej znajdują się pp. Broadhurst i Shipton, przedstawiciele najwsteczniejszego odłamu Trades-Unionów. Przeciwko tej grupie, która powstrzymuje ludność pracującą od wszelkich postępów utworzył się z drugiej strony w łonie tych związków demokratyczny „Komitet protestu"; dokonał on tego, iż Trades-Uniony przyjęły czynny udział w kongresie międzynarodowym paryskim roku zeszłego, jakkolwiek komisya parlamentarna sprzeciwiała się temu; z drugiej strony udało mu się przed trzema laty przeprowadzić na dorocznym zjeździe związkowym uchwałę, iż trzeba utworzyć odrębną partyę, któraby prowadziła w parlamencie politykę samodzielną. Dzięki zabiegom przeciwnym nic dotychczas nie zrobiono dla wprowadzenia w czyn tej uchwały.

---

chciał już na nią *dokumentnie*, jak się babka wyrażała, zasłużyć.

Chłopiec nie brzydki był nawet; rysy twarzy miał wcale regularne, tylko mu szyję guzy po pod uchem szpeciły.

— To ta złość — mawiała babka — w *szkrofle* się w nim obraca.

I czy to naprawdę z tej złości, czy z czego innego, zdrów nigdy nie był, a każde prawie łotrowstwo, za które znaczniejsze cięgi dostał, odchorował.

— Po nocach — opowiadała babka — zębami jak *antychryst* zgrzyta, a rzuca się czasem, aż łóżko dudni, a cała pościel na ziemię leci.

— A w dzień, panie — dodawał dziadek — to stanie czasem jak tuman, czasem lekcyą wydawaną w pół słowa przerwie i ślepie wybałuszy, że muszę, panie, dobrze kułakiem trącić, by się opamiętał. A złe to, panie, wtedy takie, żeby gryzło.

I oboje zgadzali się: „że kaleka, luter jest, nic nie pomoże, a na szubienicy skończy". Mieli zaś czas poznać go już dokładnie, bo dwa lata mija, jak uproszeni przez ojca przyjęli go w swój dom, i karcili jednym ciągiem. Póki matka żyła, dobrocią, bo on „taki się już był urodził", próbowała go ugłaskać. Rodzeństwo go niecierpiało. Szość lat miał niespełna, kiedy śpiącemu, a parę lat starszemu bratu cybuch ojca tym koń-cem, który się w fajkę wkłada, do ust wetknął i nie uciekł, choć mógł się domyśleć, co go za to czeka. Potrzebował się nasycić widokiem przykrości, jaką w ten sposób bratu sprawił. Zbity i pokrwawiony wtedy przez niego, pobiegł do matki na skargę, a przyprawiwszy ją swem nagłem a nie uroczem zjawieniem o spazmy, zdobył sobie pewnego rodzaju nietykalność. Zwłaszcza że wpadł wtedy na pomysł narażania podczas bójek na razy swego nosa, z którego nader łatwo krew broczyła. Nie tyle zaś sam widok krwi, do którego się przyzwyczajono, ile obawa o matkę działała na przeciwników.

Czy on sam tę matkę ochraniającą go ciągle kochał, rzecz wielce wątpliwa. I jej często dokuczył. Z drugiej zaś strony, ponieważ gdy czego potrzebował, przyłasić się umiał, a u matki o względy najczęściej starać się wypadło, przytulał się nieraz do niej. Po śmierci jej — dochodził dziesięciu lat, gdy umierała — uczucie jakieś gnało go czasem na jej grób, gdzie się żarliwie modlił. Wątpić jednak można, czy miłość, a nie strach raczej był tem uczuciem.

— Pamiętaj — mawiała mu matka często za życia — ty mię do grobu wpędzisz, a wtedy nieraz staną ci przed oczyma.

Czy mu teraz stawała przed oczyma, nie opawiadał, ale wiedział pewnie, że on ją poniekąd dobił. Schorowana, zgnębiona, nabożną nader stała się z czasem. Modliła się dużo, na każde nabożeństwo, choćby najpilniejsza robota była w polu, brała konie — mąż ją kochał i nieba rad był przychylić. Ona zaś książeczkę do nabożeństwa, Duninа, polubiła i pokochała, może na równi ze swym „nieszczęśliwym Kaziem".

W niej znajdowała pocieszenie i ulgę. „Pan Bóg bardziej cierpiał, niż człowiek cierpieć może, a choć Bóg". Nie szczególnie ta może pociecha, ale jedyna jak dla niej. Wszyscy też wiedzieli, jaką dla niej wartość ma ta książeczka i powkładane w nią obrazki. Jak się bała, ile razy wziął ją ktoś do ręki. Jak ją zazdrośnie chowała w stoliczku nocnym, do którego przystąpić prawie broniła.

„Nieszczęśliwy Kazio" wygnany wprzódy z paru szkół, oddany był wtedy do surowego zakładu. Matka się za niego codzień z owej książeczki modliła, on zaś pisywał listy do ojca.

— Drogi ojczulku! Jeżeli tatko choć trochę mię kocha, proszę niech mię tatko stąd odbierze. Jeżeli tatko ma choć trochę litości, proszę, niech mię tatko stąd odbierze. Jeżeli... — podobnych „jeżeli" dwie pełne stronice — jeżeli tatko nie chce przez moją śmierć mamy do grobu wpędzić, proszę niech mię tatko stąd odbierze. Bo inaczej ucieknę — kochający syn — Kazimierz.

Nie ulega wszakże wątpliwości, iż demokracya społeczna wniosła do Trades-Unionów silny ferment, który z czasem zniszczy wsteczneich tradycye, zniesie sztuczne przegródki, oddzielające te związki od reszty klasy robotniczej. Trzeba przyznać, iż postępowa ta część stanowi dotychczas znaczną jeszcze mniejszość; koło niej grupuje się masa pierwiastków niezdecydowanych, ale już niezadowolonych; reszta ani na krok od starych tradycyj odstąpić nie chce.

Walka pomiędzy temi stronnictwami toczy się w Trades-Unionach już od kilku lat i najjaskrawiej wystąpiła na jaw w sprawie ośmiogodzinnego dnia roboczego. Sprawę tę podniesiono przed dwoma laty na dorocznym zjeździe tych związków i postanowiono oddać ją pod bezpośrednie głosowanie wszystkich członków. Zadanie to miała wykonać reakcyjna komisya parlamentarna. Użyła ona wszelkich środków, aby tylko otrzymać pożądany dla siebie rezultat, tj. odrzucenie projektu. Naznaczyła np. określony termin, na który odpowiedzi miały być nadsyłane. Jeżeli który związek przysłał wcześniej lub później, to głosy jego nie były liczone. Okazało się, iż w ten sposób zginęło kilkanaście tysięcy głosów zwolenników dnia ośmiogodzinnego, gdyż dzięki staraniom komisyi parlamentarnej zdarzyło się tak, iż chybiały terminu te właśnie związki, które znane były ze swej skłonności do prawnego ograniczenia dnia pracy. Otrzymano też rezultat nieprzychylny dla tej reformy, ale był on tak oczywiście sfałszowany, iż ostatni kongres, który się odbył w końcu roku zeszłego w Dundee, odrzucił sprawozdanie komisyi parlamentarnej, jako niewiarogodne. Podług obliczeń niektórych publicystów wypada, że, jeżeli dodać do cyfr urzędowych kilkanaście tysięcy tych głosów, które dzięki oszustwom komisyi odrzucone zostały i kilka tysięcy górników, którzy w głosowaniu udziału nie przyjmowali, a wszyscy oświadczają się za skróceniem pracy, to ośmiogodzinny dzień roboczy będzie miał za sobą w Trades-Unionach stanowczą i znaczną większość.

Nie przyjąwszy raportu komisyi parlamentarnej, kongres w Dundee przeszedł do samodzielnych rozpraw nad kwestyą, które zakończyły się odrzuceniem jej większością 86 głosów przeciw 63 (60 delegatów powstrzymało się od głosowania). By zrozumieć ten rezultat, musimy wziąć pod uwagę następujące okoliczności. Wszyscy prawie wybitniejsi przedstawiciele „Komitetu protestu“ nie byli obecni na ostatnim kongresie, gdyż bezrobocie dokowców, które w tym czasie wybuchło, w zupełności ich zaprzątało. Z drugiej strony komisya parlamentarna, która zwykle zwołuje kongresy, postarała się, aby najdrobniejsze związki, z najciemniejszych zakątków wiejskich poprzysyłały swych delegatów. Wszystkie tego rodzaju „Kozie Wólki“ angielskie dały masę najwsteczniejszych przedstawicieli, którzy stali po stronie komisyi parlamentarnej i w ten sposób otrzymała ona pożądaną większość.

Projekt, wymagający wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia pracy, drogą prawodawczą, został odrzucony, ale nie ulega wątpliwości, iż trades-unioniści są daleko radykalniejsi, niż ich przedstawiciele z ostatniego kongresu, i że agitacya polityczna w celu zdobycia tej reformy objawi się wkrótce i to z tem większą siłą, im znaczniejsze są sztuczne machinacye dla jej powstrzymania.

Idea wszakże ośmiogodzinnego dnia pracy czyni postępy nietylko wśród Trades-Unionów, lecz i wśród mieszczaństwa. Przyczyną tego — chroniczna nadtwórczość, na którą Anglia cierpi i z której wyleczyć ją może tylko rozszerzenie rynku wewnętrznego. To nam tłomaczy, czemu dziesięciogodzinny dzień, ustanowiony prawnie tylko dla kobiet, w praktyce zastosowany został i do większości robotników fabrycznych.

Opinia publiczna jest do takiego stopnia zjednana na korzyść nowego prawa, iż żaden ze znanych mężów politycznych nie odważyłby się otwarcie przeciw niemu wystąpić. W ostatnich czasach mówili w tym przedmiocie wszyscy: Salisbury, Gladstone, Morley, Bradlaugh, Chamberlain i nikt nie śmiał wyrzec się zgodności przynajmniej z zasadą ośmiu godzin pracy. Podawano praktyczne tylko powody dla odłożenia reformy.

Radykaliści zgadzają się, aby reforma natychmiast została wprowadzoną w pracowniach państwowych, a jedyny przedstawiciel angielskiej demokracyi społecznej w parlamencie, Cunningham Graham, energicznie domaga się zastosowania jej i do kopalni węgla. Jest wielka nadzieja, iż odnośny projekt wejdzie w życie jeszcze podczas bieżącej sesyi, gdyż ma on w zupełności za sobą opinię publiczną, a ostatnie zjazdy angielskie i międzynarodowe górników uświęciły go swoją powagą. Godną uwagi jest ta okoliczność, iż p. Broadhurst jest w tej kwestyi najzapalczywszym przeciwnikiem Grahama! Ale demokracya społeczna nie drzemie: za jej staraniem powstaje coraz więcej nowych związków, obejmujących tych robotników, którzy do Trades-Unionów nie należą, pod jej naciskiem runą te odwieczne fortece wstecznictwa i wówczas klasa robotnicza angielska, jedna i niepodzielna, zdobędzie nietylko ośmiogodzinny dzień pracy, ale i zupełne jej wyzwolenie.

Leon Winiarski.

OSKAR KOLBERG.

III.

Wyczerpawszy wszystko, co się dało na jednem miejscu i zyskawszy sobie w gospodarzu samym lub innej osobie miejscowej chętnego korespondenta na przyszłość, przenosił się na inne miejsce, podobnież przysposobione.

Taki tryb badań wydać się może wcale łatwym i prostym temu, kto sam ich nie próbował, w rzeczy samej był on pracą bardzo ciężką. Potrzeba doprawdy widzieć ten spokój, tę cierpliwość i natężoną uwagę, pochłaniającą badającego i tę dobrotliwość jego, z jaką on zachęca i podtrzymuje chłopa, znużonego powtarzaniem zapisywanej pieśni lub opowiadania; potrzeba by się przekonać, że takie badania etnograficzne kosztują trudu wiele i że zsumowawszy wszystko, co Kolberg zdziałał, trud przez niego poniesiony okaże się bajecznie olbrzymim.

Dodajmy do kilkudziesięciu tomów *Ludu* kompozycye muzyczne, operę *Król pasterzy* siedem razy przedstawioną w Warszawie w r. 1857, operetkę *Janek z pod Ojcowa* (słowa J. Gregorowicza) i fragmenty opery *Wiesław* (słowa Pruszakowej) a otrzymamy dopiero połowiczny obraz jego twórczości, zalegającej do połowy w rękopisach. I któż ze znajomych, którzy go odwiedzali dawniej w Modlnicy, a w latach ostatnich w jego *kawalerskiem* mieszkaniu na Kleparzu, nie zna tej jego poczciwej towarzyszki życia szafy jesionowej? Stary to sprzęt i mocno już zużyty: drzwiczki poszczerbione i popaczone od ustawicznego otwierania przez lat kilkadziesiąt, nie przymykają się już wcale. Pomimo tych ułomności swego wieku sędziwego, szafa ta mieści w sobie

---

Trwało to może ze dwa miesiące, aż przyszedł list nie od Kazia już, lecz od przełożonego zakładu:

„Wielmożny pan zechce swego syna odebrać, bo mimo stosowania najprzeróżniejszych środków celem poprawienia go, nie przestaje on być dla drugich gorszącym przykładem, nie widząc możności złemu, jakie w okół siebie szerzy, zaradzić, nie możemy dłużej cierpieć go w zakładzie.“

W domu po tym liście była „Sodoma i Gomora“, „Koniec świata“ i „przychodziło już do urwania głowy“, kiedy trzeciego dnia pod wieczór—wszystko było już spakowane i nazajutrz tylko świt miano jechać po „nieszczęśliwego Kazia“—on sam zjawił się w pokoju matki.

Matka ucieszyła się przedewszystkiem niezmiernie, ale zaraz potem przelękła bardzo, a następnie rozżaliła znowu i rozpłakała, bo Kazio mizerny był i skarżył się na ból głowy. Jak stał, tak go położyła do swego łóżka, i już zamierzała mu ziółka gotować. Ale przecież obawa przed ojcem, co powie i zrobi, jeżeliby nagle syna marnotrawnego zobaczył, przeważyła nad wszystkiem.

— Leżże tu, mój Kaziu, dziecko moje nieszczęsne, ani mi głowy z pod kołdry nie pokazuj. Ja tu zaraz wrócę.

Pobiegła do męża.

— Karolku, mój drogi, już ja cię proszę, tylko też do mojego pokoju nie wchodź.

Taka była zdesperowana, tak płaczliwie wołała, że mąż zerwał się przestraszony. Poskoczył ku niej.

— Co ci jest, Ewciu, co się stało?

— Widzisz, proszę cię, a ty właśnie idziesz—pochwyciła go za rękę—mój Boże, jaka ja nieszczęśliwa!

— Ewciu, dziecko, uspokój się, nigdzie nie idę. Tylkoż mi już powiedz, co się stało. Co ci się stało?

— Mnie się nic nie stało, tylko do mojego pokoju nie chodź i jutro już nie pojedziemy.

— A owszem, toż sam ci mówiłem, żebyś nie jechała. To nie na twoje siły tłuc się taką drogą. Chwała Bogu, żeś się rozmyśliła. O niego się nie bój, w kryminale siedzieć nie chcę, to go przecież nie zabiją na miejscu. A zresztą nie bierze dyabeł...

— Karolku, bój się Boga, jak możesz coś podobnego mówić. Przecież to twoje dziecko.

— No! no! już się ty o niego nie bój, choć sam pojadę...

— Ale żebyś i ty już nie jechał.

— Jakto, żebym i ja nie jechał? Wiesz przecie, co ten napisał, muszę go odebrać.

— Kiedy już nie potrzeba. Bo... bo...

— Cóż bo? jakie bo?—W twoim pokoju?.. On tam jest...

— Karolku! nie chodź—zawołała rozpacznie.

Rzuciła mu się do kolan, pochwyciła za nogi i załkała tak boleśnie, że o wszystkiem innem zapomniał. Podniósł ją posadził przy sobie na sofie, pieścił i koił, póki płakać nie przestała. Ona zaś płakała, póki nie przyrzekł najsolenniej, że do jej pokoju nie pójdzie.

Więcej nie chciała. Zapewniła Kaziowi schronienie, w którem nic go dosięgnąć nie mogło, a wiedziała, że mąż choć będzie zżymał się, sierdził i rzucał gniewnie, uspokoi się zwolna, i zapomni po części przynajmniej. Kazio burzę u niej przesiedzi — ledwie że deszczyk go skropi.

Siedział też, a dobry był taki, choć do rany go przyłóż. W matce serce odżyło, że przecie może chłopczysko się poprawi. Morały mu prawiła, znosiła łakocie, modliła się z nim i za niego z ulubionej książeczki.

Nie cały tydzień tak upłynął, gdy wypadło jechać na imieniny w sąsiedztwo. Matka już obliczyła, że mąż będzie w dobrym humorze, gdy wrócą z imienin, każe więc chłopcu rzucić się do nóg ojcowskich, przeprosić i poprawę przyobiecać. Któż wie, może i bez szturchańca się obejdzie.

(D. n.).

skarby wielkie, jedyne skarby O. Kolberga, owe sławne jego 40 tek, które tyle tomów już z siebie na świat wydały i niemal drugie tyle wydać jeszcze mogą. Przy pomocy Akademii krakowskiej, od której w ostatnich latach otrzymał zasiłki w kwocie 8 tysięcy guldenów i dzięki własnej oszczędności, graniczącej z zupełnem zaparciem się własnej osoby — dla siebie skąpił we wszystkiem, chodził w wytartym, zatłuszczonym surducie i w butach łatanych — zdołał on podjąć się finansowej operacyi wydawnictwa książek niekupowanych, ani nawet nieczytanych, ale stanowiących spiżowy pomnik w naszej literaturze. Z dzieł jego przez długie lata czerpać będą pełną ręką etnografowie, poeci, muzycy. Jak w pracę swą włożył całą duszę, ale strzegł się przydać do niej swoje „ja" osobiste, tak w życiu, w pracy jednym programem wypełnionej, nie szukał zadowolenia miłości własnej, ale spełnienia obowiązku. Nie chełpiąc się nigdy, wdzięcznie przyjmował każdy objaw uznania, umiał przestawać na małem bez żalu do społeczeństwa i wiernym być w przyjaźni, którą go obdarzali tak prostaczkowie, wieśniacy, jak ludzie wybitni stanowiskiem. Do śmierci zachował świeżość umysłu i ten urok prostoty pełen, który mu jednał serca zarówno starych, jak młodych i dzieci nawet. Nazwisko Kolberga znane było w całej Europie i to nietylko u naszych słowiańskich pobratymców; prace jego cytowali francuzi i włosi, niemcy i anglicy a portugalski etnograf Pedroso dla nich nauczył się po polsku. Nie był to krytyczny, obeznany z nowszą metodą naukową etnolog. Erudycya i mania gromadzenia wszystkiego, bez oddzielenia kąkolu od zdrowego ziarna, szpeciły nieraz jego zbiory wiadomościami zaczerpniętemi gdzieś z mętnego źródła albo powtarzanemi na wiarę.

Nie mając dostatecznego wykształcenia filozoficznego ani historycznego, snuł Kolberg nieraz najdziwaczniejsze wywody: (Warszawa np. ma pochodzić od słów *wara* = pilność i *Sawa* = piękność. Mazowsze od Masagetów itp.). Mieszał pieśni ludowe ze szlacheckiemi i książkowemi a co najgorsza odsuwając cały zrąb tradycyi ludowej w głąb zamierzchłej epoki, opowiadał o bożkach i boginiach słowiańskich, których może nigdy polacy nie znali.

Mylił się też w ocenieniu muzyki ludowej, podciągając subtelnie nastrój i charakter prostych melodyj pod prawidła starogreckich i starokościelnych tonacyj (tworzone one były pod przemożnym do XVI wieku wpływem pieśni liturgicznych kościoła katolickiego); mylił się również w wywodach pochodów tonalnych pieśni ludowej, podejmując awanturnicze podróże aż do Chin w poszukiwaniu tam wyjaśnienia, które mógł znaleźć raczej w siole mazowieckiem. Lecz są to miniaturowe drobiazgi, które nie mogą zaważyć na szali kolosalnych jego zasług. Znakomity badacz ludu polskiego i ruskiego, niestrudzony w pracy zbieracz jego pieśni, zwyczajów, podań, ś. p. Oskar odznaczający się do ostatniego niemal tchnienia niespożytą siłą mrówczej iście pracowitości, w ciągu swych półwiekowych przeszło trudów zdołał zebrać i uporządkować prawdziwe skarby ludoznawstwa, które mogłyby przynieść zaszczyt nie jednostce, lecz całym instytucyom naukowym. Nie urzędnicy pod jego komendą, nie środki finansowe, ani poklask publiczności, lecz głęboka miłość ludu, jego siół i pól, zamiłowanie narodowego pierwiastku w najszerszym zakresie — były motorami, które pobudzały Kolberga do pracy bez wytchnienia na pożytek rodaków, na chlubę własną i powszechne uznanie, chociaż nie pożądał ich, ani nie dbał o nie. Rok temu właśnie, gdy w Krakowie w sposób skromny, w strzeleckiej sali składano zmarłemu najzasłużeńszy hołd, ci, którzy jubileusz urządzali, nie bez obawy pytali, czy społeczeństwo dość liczny w nim weźmie udział. Tymczasem bez agitacyi, bez hałasu, bez nawoływań stanęło wielu. Osobiście, przez pośrednictwo delegatów, wieńcami, listami, telegramami uczciły wszystkie warstwy narodu i wszystkie stronnictwa polityczne sędziwego pracownika, którego jubileusz zamienił się we wspaniałą owacyę. Starzec wiekiem, ale młody zapałem Kolberg wystąpił wobec tysiącznej publiczności, zgromadzonej w sali, i nie mógł znaleźć wymowniejszych słów, jak wyrażające gorące pragnienie dokończenia rozpoczętej pracy o *Ludzie...*

Ze wszystkich składanych mu wówczas życzeń i pochwał, ucieszył go najbardziej wieniec z kłosów zboża i kwiatów polnych, złożony przez włościan krakowskich „prawdziwemu przyjacielowi ludu."

Ten tytuł niewielu równie godnie zdobyło, a niewątpliwie dla Kolberga był on najzaszczytniejszym i na schyłku życia stał się jasnym promieniem po długich, pochmurnych najczęściej latach znojnej, lecz obfitej w owoce pracy.

H. B.

LISTY PETERSBURSKIE.

10 czerwca.

Sprawa języka słowiańskiego. — Kursy medyczne.

Nowem zagadnieniem, zajmującem umysły słowianofilów, jest kwestya rozpowszechnienia między bratnimi szczepami alfabetu staro-słowiańskiego (kirilicy).

Jak wiadomo, św. Cyryl (Kirił), by łaciej wykładać naukę apostolską, przetłomaczył (IX st.) na język słowiański pismo św. Przyczem, zamiast użyć znanego mu abecadła greckiego, ułożył inne, lepiej nadające się do fonetycznych wymagań narzeczy słowiańskich.

Niewiele się omylimy, twierdząc, że pierwotni nasi ojcowie unikali, czyli dobitniej mówiąc — nie znali samogłosek. Np. słowo *drzewo* bezwątpienia wymawiało się *drw*, a może *držw*. Przeciw temu przypuszczeniu można przytoczyć dwa dowody: pierwszy—dziecię zaczyna wymawiać najprzód najprostsze sylaby: ba, ma, la, da, a nie spółgłoski; drugie—mowa bez samogłosek jest prawie niemożebną. Oba te jednak dowody są słabe. Dziecię, żeby w parę lat nauczyć się pewnych dźwięków i ich znaczenia, musi prawie od urodzenia przysłuchiwać się mowie otaczających je osób. Wprzód, nim wymówi wyraz: *mama*, usłyszy je powtórzone z pewnym przyciskiem, przynajmniej tysiąc razy, co wystarczyłoby nawet dla papugi. Człowiek pierwotny miał inne wzory: huk gromu, wycie wiatru, trzask drzew, ryk żubra, śpiew ptaka, plusk wody — dźwięki wogóle bez samogłosek. Jużci niepodobna, ażeby mógł je naśladować, nie używając tych ostatnich, lecz nie zważał na nie — nie znał ich wcale.

Z rozwojem pojęć wchodzą w użycie pewne odcienie dźwięków; wymawiając jedne i te same słowa, dla zróżniczkowania ich znaczeń, człowiek rozlewa usta szerzej lub węziej — tym sposobem tworzy owe głoski, które nazywamy *a, o, u...* itp., a które dla ludzi pierwotnych były tylko mruczeniem — nie więcej.

W każdym razie za czasów apostoła słowiańskiego była wielka ilość wyrazów, w których samogłoski nie były jeszcze ustalone, a przynajmniej u rozmaitych szczepów chwiejnie się wymawiały. Owoż dla niewyraźnych określeń św. Cyryl używa liter niepewnych (jusów), których każdy szczep mógł nadawać, a przynajmniej nadał odcienie utarte w jego języku. Ile było sprzeczności w wyrazach, łatwo sądzić z tego, że musiał on użyć aż czterech jusów (dwa jotowane) i krom tego dwie głoski półnieme ь i ъ, które z czasem u różnych szczepów albo zupełnie oniemiały, albo się przetworzyły w *u, ó, e, i...* Najwięcej samogłosek używa język ruski, najmniej— serbski (srbski).

Uczeni przypuszczają, że dwa główne jusy były wymawiane jak polskie *ą* i *ę*; jest to rzeczą nader prawdopodobną. Słowo *dźwięk* — mogło się wymawiać jako *zwk*, przyczem zgłoska *z* zapewne różniła się od teraźniejszej, wymawiała się jako *zz* lub *dz*. Zczasem dla wybitności, dla zbliżenia się ku dźwiękom natury, niektóre szczepy mówią (d)zw*n*k, inne zaś pozostają przy łatwiejszem (d)zw-k, lub (z)zw-k. Owoż w miejsce nosówki, a u innych niemej głoski, św. Cyryl stawia jeden z jusów.

Mamy prawo twierdzić, że ów apostoł nieraz się biedził, gdzie ma umieścić swoje półnieme ь lub ъ. Weźmy słowo *p-l-k*, ucho może pochycić jako: *półk, płok, polk, pyłk*, a nawet jako *piłko*. Starożytni nie wiedzieli, co z tem słowem zrobić, jak je napisać.

Wostoków, słynny gramatyk i znawca języka słowiańskiego, znalazł, że ъ oznaczało literę *o*, a ь — literę *e*. Jako dyletant, nie śmiem wytaczać sporu, lecz rodzi się pytanie, dlaczego żaden szczep nie mówi: płoko, trogo, wriecho, czrieto itp., dlaczego w języku ruskim końcowa głoska oniemiała, a u serbów dotychczas są słowa zupełnie bez samogłosek?.. Nie można przecie przypuścić, że serbowie od łatwiejszej wymowy dobrowolnie przeszli do trudniejszej.

Po za samogłoskami wszystkie szczepy mają język zupełnie jednaki; małe zmiany zaszły jeno z niedokładnej wymowy. Tak np. św. Cyryl zapewne nie umiejąc odróżnić dźwięków nieznanych w mowie greckiej, zamiast dwu liter *g* i *h* użył tylko jednej — *g* (γ—gamma) i oto w języku ruskim, zwłaszcza literackim, *h* zupełnie zanika, zamiast *hosudar*, mówią *gosudar* itp. Warszawiacy znowu zamiast *h* wymawiają *ch* (chardy); jeżeli dalej tak pójdzie, o jeden piękny dźwięk będziemy biedniejsi i mniej będziemy rozumieli się wzajemnie: *hordy* i *hardy* są słowa zupełnie podobne, zaś *gordy* i *chardy* inne mają pierwiastki, oba różne od pierwotnego (hrd).

Najpierwsze druki, według abecadła św. Cyryla, jak twierdzą świadomi rzeczy, ujrzały świat w Krakowie 1491 r. Późniejsze drukarnie istniały w Pradze i Wilnie. Dziś kirilica pozostała jeno w książkach wschodnio-cerkiewnych, w archiwach i częściowo w piśmiennictwie szczepów zamieszkujących półwysep Bałkański. Dlaczego polacy i czesi zaczęli używać abecadła łacińskiego, nie jest zagadką. Jednocześnie z nauką i religią Zachodu przyszły i litery. Z początku łacina była językiem oświaty i wiedzy, z czasem i rodzinne słowa jęli pisać głoskami, których się już nauczyli, tj. łacińskiemi. Kirilicy nie odrzucano, lecz pod tchnieniem nowszych prądów zwolna zanikła.

W języku ruskim stary alfabet przetrwał do panowania Piotra Wielkiego. Ów słynny reformator przyszedł do wniosku, że dla żywego języka kirilica jest zbyt zagmatwaną, niewystarczającą i utworzył nowe abecadło, gdzie jusy zastąpiono wyraźnymi dźwiękami, tj. używanymi w mowie potocznej; niektóre zbyteczne, jak *ks, ps* (greckie) wyrzucono, kilka liter dodano—z kirylicy pozostały szczyty. Nowe abecadło, dla odróżnienia od staro-cerkiewnego, nazwano świeckiem (grażdanką). Ktoś ze słowianofilów, o ile pamiętam, w gazecie *Czerwona Ruś*, z powodu zbliżającej się 400 rocznicy drukarni krakowskiej, rzucił myśl, że dla łączności słowian wartoby wrócić do kirilicy. Niektóre tutejsze gazety, nie zgłębiając, o ile ów alfabet odpowiada nowszym wymaganiom, zachcy tę myśl szerzyć. Niejaki p. Kriwcow z Odesy pisze do prezesa słowiańskiego stowarzyszenia w Petersburgu, hr. Ignatiewa list, prosząc, ażeby zwołał dla rozstrzygnięcia owej kwestyi ogólny zjazd słowiański w Kijowie, Moskwie, Pradze lub Belgradzie, a zapominając, że sam pisze nie kirilicą, a może i nie umie jej —

zaczyna zupełnie nie po bratersku, bo od łajania tych, co piszą inaczej. P. Władimirów w gazecie *Nowoje Wremia*, przytaczając ów list, rzuca też kilka kamieni do ogrodu sąsiedzkiego i radzi zjazd urządzić w Wilnie.

Niewiele trzeba mieć przezorności, ażeby dojść do wniosku, że z owego projektu nic nie będzie. To, co było niewystarczającem dla przeszłych pokoleń, nie może dziś wystarczać.

Słusznie zaznaczają niektórzy, że polskie *cz* i *sz*, jako dźwięki proste—niezłożone, powinnyby wyrażać się jedną literą, której alfabet łaciński nie posiada, że nie wiadomo, z jakiego powodu litera *c* zmienia *h* w *ch*, że wątpliwem jest, jak czytać *rz*, czy jako *ż*, czy też *r-z*. Są to usterki błahe i łatwo się mogą usunąć. W abecadle ruskiem widzimy też niemało zboczeń: np. *szcz* pisze się jedną literą niesłusznie, bo dźwięki są dwa: *sz-cz*. Jotowane jusy, które się zmieniły (po rusku) na *ja, jo, je* — i gramatyka i fonetyka zmuszają wyrażać przez dwie litery: boj — boju (boj-u), a jednak nie uwzględniono tego i wszystkie złożone dźwięki mają osobne — niepotrzebne i nieużyteczne — głoski. Stare półnieme ъ i ь dotychczas figurują dla cieniowania dźwięków, podczas gdy do tego dość byłyby maluczkich kresek, jak w języku czeskim. W każdym zaś razie zamiana abecadła na to lub owo człowieka ani lepszym, ani mędrszym nie uczyni, a więc nie przyniesie z sobą zjednoczenia, które zależy od innych pobudek i uskuteczni się pod wpływem głębszych czynników.

Na zakończenie przytaczam zdanie gazety *Dień*. Podług niej wszelkie volapüki do niczego nie doprowadzą; zjazd słowiański (np. w Belgradzie) powinien starać się rozpowszechniać przekonanie, że dla ogólnego dobra niezbędnem jest, aby szczepy słowiańskie studyowały język ruski, przedewszystkiem literacki, który stanie się ogólnym łącznikiem. Większość polaków (oświeceńszych) zna go, w Czechach i Serbii też znajdzie się niemało zwolenników — pozostaje więc tylko pracować w tym kierunku. Z innej strony zjazd powinien wszelkimi możliwymi środkami popierać wniosek, aby w niższych szkołach każdy szczep mógł kształcić dzieci we własnem narzeczu, a w średnich i wyższych wykłady powinny być w języku większości, juźci z obowiązującym ruskim.

Protoplastą tej myśli jest prof. Łamański, lecz w redakcyi gazety *Dień* ona się wyraża nieco zmienioną.

Dobre czyny nie umierają. Gdy kilka lat temu pani Rostwienaja, a wkrótce generał Szaniawski ofiarowali na żeńskie kursy lekarskie po 50 tysięcy rs., dziwną się wydała wiara tych osób w zmartwychwstanie umarłych. Z czasem ten i ów dorzucił trochę grosza, aż zebrała się pokaźna suma 200 tysięcy. Krom tego niektóre osoby zobowiązały się zaraz po otwarciu kursów wnosić corocznie pewną kwotę (od kilkuset do kilku tysięcy rs.).

Wczoraj przedstawiciele miasta obradowali nad wcieleniem tej idei i wyznaczyli ze swej strony 15 tysięcy rocznej zapomogi, oraz ofiarowali przy szpitalu miejskim (Obuchowskim) obszerny dom. Można przypuszczać, że otwarcie nowego zakładu wiedzy jest tylko kwestyą czasu. Należy życzyć, aby program pozostał szerokim a przyszłe lekarki nie były czemś średniem pomiędzy felczerem, a lekarzem. Podobna myśl ma wielu zwolenników — zwłaszcza w gronie lekarzów — i nie dziwno! Tam, gdzie się walczy o chleb, czyli — jak powiadał Szczedryn, gdzie się roztrzyga *kwestya skóry* — trudno o jasny pogląd.

N. B.

LISTY WIEDEŃSKIE.

14 czerwca.

Pawilon domowego przemysłu artystycznego na wystawie rolniczo-leśnej. — Wyroby galicyjskie. — Cudotwórcze dekrety ministeryalne w Austryi: jak powstał przemysł bośniacki i jak znaleziono dyrektora dla Burgtheatru wiedeńskiego.

Drobna tylko część publiczności, zwiedzającej tutejszą wystawę rolniczo-leśną, ogląda z zajęciem i zrozumieniem wytwory i maszyny gospodarcze; większą siłę przyciągającą posiada pawilon domowego przemysłu artystycznego, urządzony przez komitet pod przewodnictwem dyrektora wiedeńskiego Muzeum przemysłowego, Exnera. Obejmuje on wyroby krajów korony austryackiej, wliczając Bośnię i Hercogowinę; przemysł artystyczny Węgier reprezentowany jest znacznie obficiej w rozległym osobnym dziale. Mimo iż wystawa krajów austryackich jest stosunkowo szczupłą, jasno dla widza występuje gospodarcza doniosłość tego przemysłu i postęp jego, dokonany w latach ostatnich dzięki szkołom i pracowniom. Popierając go w takich głównie okolicach, gdzie kwitnąć nie może ani rolnictwo, ani chów bydła, a gdzie przemysł wielki nie istnieje jeszcze, zatrudniono tysiące rąk i otwarto dla ludności wiejskiej źródła zarobku. Wystawa zdumiewa przedewszystkiem różnorodnością. Widzimy tkaniny i hafty, wyroby snycerskie i garncarskie, metalowe i koszykarskie. Wszystkie te gałęzie kwitną zarówno w Galicyi i Bukowinie, jak w Czechach, krajach alpejskich, w Istryi i Dalmacyi. Przyznaje jednak zarówno publiczność, jak dzienniki nieprzychylne Galicyi, że wyroby jej występują zwycięzko, wyjąwszy chyba metalowe naczynia bośniackie. A jest to zasługą tem większą, że roboty galicyjskiej ludności wiejskiej mają cechy najstarszej, nieprzerwanej tradycyi w technice i dekoracyi. Postęp odnosi się tylko do uszlachetnienia materyału surowego i do ulepszenia narzędzi. Ogólnie podobają się zwłaszcza wyroby garncarskie: charakterystyczna majolika chłopska z Kossowa, o kształtach grubych, ale wdzięcznie ozdobionych kolorem bronzowym, zielonym i żółtym, które dzbanom i miskom nadają wejrzenie starożytne, dalej majolika z Toustego, wywołująca efekt niepospolity, aczkolwiek ozdoby jej składają się ze zwykłych motywów kolistych i gwiaździstych. Nawet proste, ciemne naczynia gliniane, wyrabiane bez glazury, służące do codziennego użytku ludności wiejskiej, uderzają swym kształtem, przypominającym urny z czasów przedhistorycznych. Niemniej piękne są wyroby huculskie, obijane mosiądzem, pasy, torby i futerka. Cesarz, zwiedzając ten pawilon, wielce się interesował rusznicami huculskiemi, kilimami, którymi udekorowano cały oddział galicyjski w formie obozu, haftami Wierzbickiego i Szuchewicza.

Snycerstwo artystyczniej dziś rozwinięte w Czechach, aniżeli w Galicyi. Ale i na tem polu wyroby galicyjskie tę mają zaletę, że wiernie zachowały dawne formy i typy. Rzeźbione i malowane skrzynie odbijają prastary, niezmącony smak chłopski, a maryański przemysł krzesłowy, oparty również na tradycyach starożytnych, pozostaje bez współzawodnictwa w krajach austryackich. Niestety krzesła te, o ile ściśle trzymają się form snycerstwa starożytnego, mniej znajdują pokupu, podczas gdy zwykłych, wyplatanych słomą, sprzedaje ludność maryańska corocznie 30,000.

I w koszykarstwie Galicya rej wodzi. Wprawdzie kosze plecione z Wiagomnicy, mimo form swych charakterystycznych, są jeszcze niezgrabne; za to wyroby rudnickie celują elegancyą.

Wspomnieliśmy już o naczyniach metalowych, wyrabianych w Bośni i Hercegowinie. Są to prześliczne imbryki, flaszki, czajniki i dzbany o formach harmonijnych i delikatnej ornamentacyi wschodniej. Zdumiewają też pięknością swą stoliki i skrzynki inkrustowane złotem lub srebrem, oraz zegary, medaliony i laski, wykładane podobnemi arabeskami metalowemi. Kto widział wyroby przemysłu bośniackiego, kiedy przed niewielu laty po raz pierwszy pojawiły się w wiedeńskiem Muzeum przemysłowem, nie pojmie, w jaki sposób pierwotny ten przemysł tak szybko mógł stanąć na wyżynie zachodniego złotnictwa. Wyjaśnia to okoliczność, że w Bośni wiedeńskie Muzeum urządziło filię wyposażoną w najlepsze siły nauczycielskie. Zapewne zdołano wychować już pokolenie dzielnych rzemieślników, artystów, gdyż uzdolnień w tym kierunku ludności bośniackiej odmówić nie można; atoli niemniej pewne, że w wyrobach przysłanych na wystawę poznać można wprawną rękę samych mistrzów wiedeńskich. Łatwo dekretem ministeryalnym stwarzać taki przemysł domowy tam, gdzie honor państwa tego wymaga; ale czyż sztuczny ten przemysł istotnie współzawodniczyć może z cennymi wyrobami prastarej artystycznej tradycyi ludowej, jaka istnieje w Galicyi?

Rządy hofratowskie nie ustały jeszcze w Austryi. Najświeższym tego dowodem sposób, w jaki załatwiono sprawę dyrektora Burgtheatru wiedeńskiego. Po śmierci Förstera spodziewano się powszechnie, że dyrektorem zamianowany zostanie dr. Alfred Berger, sekretarz artystyczny Burgtheatru, który licznymi wykładami publicznymi dowiódł, że zajmuje się pilnie i fachową teoryą dramatopisarstwa i techniką sceny. Co prawda, działalność jego literacka i publicystyczna miała wszelkie cechy karyerowiczostwa, zawsze jednak był specyalistą. Drażliwość jego, wywołana przez zwlekanie oczekiwanej nominacyi, dała powód do starć między nim a intendentem. W końcu wynaleziono sobie kruczka: że Berger, jako mąż aktorki Hohenfels, nie może być dyrektorem. Wskutek tego złożył on sekretaryat. Na miejsce jego powołano ku ogólnemu zdziwieniu dr. Maksa Burckhardta, sekretarza ministeryalnego, używającego sławy dobrego prawnika, lecz niemającego żadnej styczności ze sceną. Dziś zaś, po trzech miesiącach sprawowania swych obowiązków, Burckhardt zamianowany został dyrektorem pierwszego niemieckiego instytutu dramatycznego. Jest to człowiek młody jeszcze, któremu rokowano świetną karyerę urzędniczą. Jego „System austryackiego prawa prywatnego“ świadczy o zdrowym rozumie i poczuciu ducha nowoczesnego, lecz zarazem o wielkiej zarozumiałości. Właściwość ta, połączona z bezwzględnością, była jedyną, którą dotychczas nowy dyrektor Burgtheatru w obecnym zakresie swego działania ujawnił. Dyrektor ten jeszcze poemat romantyczny p. t. „Das Lied vom Tannhäuser“; jest to rzecz stawiana przez krytykę w rzędzie utworów gimnazyalnych. Szukano na dyrektora Burgtheatru estetyka lub rutynisty, albo człowieka, któryby był zarówno estetykiem, jak praktykiem. Zamianowano takiego, który nie jest ani estetykiem, ani praktykiem, ale posiada tę wielką zaletę, że się podoba księciu Hohenlohe.

Stwosz.

BADANIA NAUKOWE.

ANTROPOLOGIA PSYCHOLOGICZNA.

Wiedza antropologiczna rozrasta się potężnie, wysnuwając wciąż nowe zagadnienia. Naturalnie nie chcemy jeszcze przez to powiedzieć, aby dotychczasowa nauka ni-

gdy nie podnosiła tych pytań. Przeciwnie, większością z pośród nich zajmowała się już nieraz; czyniła to jednak raczej dorywczo i z nader małym stopniem systematyczności, bez stosowania ściśle metody. Tymczasem dzisiaj bierze się ona inaczej do rzeczy, uzbrojona całym rynsztunkiem przygotowań. Zamiast niespójnych uwag, otrzymujemy zwarty szereg faktów. Rozumie się, nie zawsze jeszcze tak bywa. Są pewne działy, gdzie zaledwie zrobiono pierwsze kroki i gdzie tylko obfitość ukazujących się prac każe przypuszczać, że niebawem nastąpi ów przełom. Mówiąc to, mamy właśnie na myśli szczególną gałąź wiedzy antropologicznej, dla której trudno dobrać nazwę. Ratzel, który opracował niektóre pytania z tej dziedziny, nadaje jej miano *Antropogeografii*, lecz tem samem z góry zacieśnia do wązkich ram rozwijające się badania; inni znowu stworzyli szerszą nazwę: *psychologii* narodów (Völkerpsychologie), ale jednocześnie zaciemnili jej zawartość najrozmaitszem śmieciem. Nie będziemy zapuszczali się w wyszukiwanie nagłówka dla gromadzonego materyału, poprzestając jedynie na wskazaniu samych dążności. Czynimy to z powodu świeżej książki niejakiego F. Biazzi *O jedności rodu ludzkiego* *). Wprawdzie główne zadanie tego dzieła jest nieco inne. Autorowi idzie przeważnie o wykazanie jedności rodu ludzkiego i dowiedzenie teoryi monofyletycznej. Lecz ażeby tego dowieść, wkracza on na szczególną drogę: szuka łącznika pomiędzy warunkami bytu a naturą poszczególnych grup rodu ludzkiego w obecnej chwili. Bada więc zależność, która istnieje pomiędzy (jak wyraża się) „klimatem,“ tj. ogółem najrozmaitszych warunków, a zatem kosmicznych, tellurycznych i wreszcie nawet czysto społecznych a duchowością odpowiedniego odłamu ludzkości i znajduje, że każdorazowo człowiek jest jakby kwintesencyą wszystkich tych wpływów zewnętrznych. Dopiero doszedłszy do tego wyniku, usiłuje wyciągnąć stąd możliwe wnioski na korzyść swego zasadniczego założenia o jedności rodu ludzkiego. Słowem, dotyka on obchodzącego nas zagadnienia jedynie nawiasowo, lecz mimo to nagromadził mnóstwo w tym względzie materyału (nie zawsze jednak dostatecznie wiarogodne) i zużytkował go nieraz w sposób nader umiejętny. Z tego to powodu nie zatrzymamy się nad całem dziełem Biazziego, lecz jedynie korzystając z zebranych tutaj faktów, pomówimy o wyrastającej nowej nauce antropologicznej, której, jak wspomnieliśmy, nie umiemy dać właściwego tytułu, chyba wybralibyśmy etno-psychologię, ale i to miano nie zupełnie odpowiada.

Istnieje w świecie organicznym nader ciekawa harmonia pomiędzy samem jestestwem żyjącem a jego otoczeniem. Najwybitniejszym tego objawem jest zjawisko znane pod specyalną nazwą „mimiczny“— naśladownictwa. Jakieś zwierzę zastosowywa się barwą a nawet niekiedy kształtami do warunków swego bytu. Nie szukając złożeńszych i małoznanych przykładów, powołamy się jedynie na takie fakty, jak białe uwłosienie zwierząt podbiegunowych, upodabnianie się różnych jestestw morskich (meduz) do zabarwienia wody, naśladowanie przez zwierzęta pustyni żółto-szarej barwy piasków. Są to uderzające objawy harmonii. Istnieją jednak inne, obce zjawisku naśladownictwa a jednak równie z podobnych pobudek przystosowania wynikające. Bogactwo barw w strefie gorącej zbyt rzuca się w oczy, aby o niem zamilczeć, jako też zmiana uwłosienia u zwierząt przeniesionych z okolic zimnych do gorących i odwrotnie, jeśli nastąpi wżycie się w warunki. Podobny związek można by wykazać pomiędzy żyjącem jestestwem a czerpanym pokarmem. Fakty te, stwierdzone w sposób wystarczający, nasuwają też odpowiednie mniemanie o człowieku, o którym można powiedzieć, że co do swojej natury jest on kością z kości zwierzęcej. Wprawdzie wyróżnia się on od wielu organizmów swojem szerokiem rozsiedleniem po powierzchni globu ziemskiego, lecz właśnie dzięki temu znalazł się w najrozmaitszych warunkach klimatycznych i tellurycznych, krańcowo odmiennych od siebie; co więcej, żyje w nich od niezliczonego szeregu pokoleń. Czyż podobna, aby wyłamał się z pod tego ogólnego prawa, obowiązującego wszystkie organizmy żyjące i aby w pewnym stopniu przynajmniej psychicznie nie przedstawiał pewnego naśladownictwa swojego otoczenia? Porównajmy chociażby takich eskimów z Ita, koczujących latem aż do 81—82° szer. północnej, niezaznających zieloności roślinnej, a przebywających w bezustannem otoczeniu lodów, niewidzących tygodniami słońca wśród długiej, długiej nocy zimowej. Ludzie ci żyją hordami z setek głów, nie wiedząc, że po za niemi istnieją inni jeszcze przedstawiciele rodu ludzkiego. Kiedy ujrzeli po raz pierwszy okręty, przyjęli je za straszydła, europejczyków zaś za istoty słoneczne; przywiezieni do Francyi, dziwili się tylko dostatkowi roślinności. Z drugiej strony przypatrzmy się murzynowi, temu dziecku pełnych słońca okolic z bujną roślinnością, podniecającem do życia zmysłowego otoczeniem klimatycznem, małą podnietą do systematycznej a wytrwałej walki z szczodrą przyrodą środkowej Afryki. Z góry można przewidzieć, że natura psychiczna tych dwóch odłamów ludzkości, postawionych w tak odmiennych warunkach bytu, winna różnić się od siebie o całą przepaść. Albo zatrzymajmy się nad wyspiarzami z niewielkiej oazy lądowej na oceanie Spokojnym, zwanej wyspą Wielkanocną. Niewielki kawałek twardej ziemi, rzucony wśród bezbrzeżnego morza w odległości kilkusetwiorst od najbliższego lądu, zaludniony ogółem przez 2—3 tysiące ludzi, musi wyłonić odpowiedni świat idej i pojęć u swych mieszkańców. Zatracili oni wszelkie ślady, skąd przyszli i w swem przekonaniu byli dziećmi swej wyspy, jedynej na całym świecie. Nic po za nimi miało nie istnieć, prócz nieskończonej powierzchni wód. Okręty, które przepływają w oddaleniu, brali za spacerujące po morzu duchy swych przodków.

Cóż mówią nam te trzy przykłady? W każdym razie pozwalają one stanowczo twierdzić, że świat idej, pożądań i uczuć jest ściśle związany z otoczeniem martwem i w dalszym ciągu każą domyślać się, że nawet same instynkty i nawet niektóre cechy fizyczne istoty ludzkiej winny znajdować się w ścisłej zależności od warunków zewnętrznych. Otóż wszystkie te przypuszczenia znajdują sobie poparcie w faktach gromadzonych przez naukę. W wielu razach człowiek jest jak ziarno pszeniczne, które wydaje nader rozmaity kłos stosownie do gruntu, gdzie zostało rzucone. Eskim lub kolusz, żywiący się jedynie rybami morskiemi, wydają z ciała odór odpowiedni, przypominający woń tranu. Mieszkaniec Indyj Przedgangesowych, używający wyłącznie pokarmu roślinnego, odznacza się szczególną biernością. Przedsiębiorczość rasowa wzrasta w miarę zużywania większej ilości mięsa. Lecz podobieństwo z rośliną jest jeszcze większe. „W departamencie Aveyron, powierzchnia gruntu składa się z różnych pokładów, połowa jest łupkowa, druga — jurajska. Co więcej wszystkie organizmy, nie wyłączając człowieka, noszą na sobie odpowiednie znamiona. W jednej części mieszkańcy są niskiego wzrostu, szczupli, kańczaści, brzydcy; w drugiej dobrze zbudowani, okazali, piękni. Zwierzęta domowe równie dzielą los swoich panów i uwidoczniają ten sam kontrast pomiędzy dwiema sąsiedniemi a różnemi geologicznie okolicami.“ (Ville). Być może, nigdzie sprzeczność w charakterze ludzkim nie rzuca się tak jasno, jak pomiędzy góralami a ludźmi z równiny. Pierwsi są konserwatywni w najwyższym stopniu, jednocześnie z silnym duchem demokratyzmu bezwiednego, uparci, odporni; tymczasem drudzy stanowią pierwiastek względnie ruchliwy, postępowy. Idąc powoli w tem określeniu psychicznej harmonii pomiędzy człowiekiem a przyrodą, dochodzimy do faktów zebranych przez geografię medyczną — przystosowania się każdorazowo organizmu do otoczenia, tak iż oddzielne grupy mogą żyć i normalnie rozwijać się fizycznie tylko wśród szczególnych warunków. Murzyn, przewieziony tylko do Gibraltaru, ginie w ogromnej ilości od rozmaitych chorób płucnych; jego organy oddychania przystosowane do klimatu afrykańskiego, nie mogą już spełniać zdrowotnie swych czynności w strefie ciepło-umiarkowanej. Przeciwnie mieszkaniec Europy pada ofiarą różnych miazmatów gorączkowych, kiedy zostanie postawiony w warunkach zwrotnikowych, nieszkodzących murzynowi. Mamy właśnie w całej pełni harmonijny związek człowieka i przyrody. Rozpatrując tę zależność, trzymamy się wciąż utartych niemal aż do pospolitości faktów, nie posuwając się do innych, mniej znanych (np. wykazania, że pomiędzy klimatem a dźwiękami i wogóle naturą fonetyczną języka istnieje ścisła zależność, jak to usiłuje dowieść Biazzi). Dochodzi nawet do tego, że chcąc kreślić życie oddzielnych grup ludzkich, istoty społeczeństw dzikich, panujące zwyczaje i tryb postępowania, wreszcie temperament i chorobliwość, można wywiązać się z zadania, jedynie łącząc całe martwe otoczenie z żyjącą ludzkością w jeden ogólny martwo-żywy organizm. Buszmen z swoją kalaharską pustynią, beduin ze swoją oazą, eskim ze swoimi lodami i fokami stanowią tak dobrze i zwarcie spojoną całość, że niepodobna ich w naukowem traktowaniu odrywać od jego warunków bytu. Przyroda, w całem słowa znaczeniu, tj. warunki kosmiczne i telluryczne, jest wprost kluczem do samego człowieka. Chcąc np. poznać kultury Ameryki, możemy śmiało usunąć z pod rozpatrywania różnice rasowe i amerykanina rozpatrywać jedynie na takim podkładzie. Ile znajdziemy tutaj odmiennych obszarów zwierzęco-roślinnych, tyle otrzymamy wprost różnych obrazów kulturnych. „Niepodobna wyobrazić sobie większej sprzeczności, niż pomiędzy murzynem a indyaninem. Jeden, dziecko otwartych równin Ameryki, posiada donośny, daleko dający się słyszeć głos. Kiedy idzie dwóch rozmawiających murzynów, można ich usłyszeć na odległość tysiąca kroków. Indyanin brazylijski jest tworem nieprzebytych a pełnych niebezpieczeństwa lasów dziewiczych. Ostrożnie przekrada się przez gęszcze, bacząc, aby ile można ukryć swoją obecność. Często gdy indyanie siedzą przy ognisku tylko przez uważne przysłuchiwanie się ruchom ust można spostrzedz, że rozmawiają pomiędzy sobą.“

A teraz postawmy pewną grupę ludzkości w szczególnych warunkach, np. w dolinach zamkniętych Himalajów, w lodach Grenlandyi, w lasach z nad Amazonki. Otoczenie to — a pod otoczeniem rozumiemy całokształt najrozmaitszych wpływów — wymaga wprost od człowieka szczególnych właściwości fizyologicznych, specyalnego przystosowania się żołądka, płuc i systemu krwionośnego, określonego charakteru psychicznego dla wytrwania w odpowiednich warunkach. W pośród grupy rozpoczyna się szczególny dobór naturalny — aklimatyzacya w najszerszem znaczeniu słowa. Osoby, którym zbywa na potrzebnym temperamencie i przystosowaniu, zostają powoli wyrzucane, śmierć unosi ich licznej i wcześniej w każdem pokoleniu. Grupa zostaje jakby przesiewana systematycznie przez sito otoczenia. Lecz właściwości duchowe i fizyologiczne, jak tego dowodzą wybitnie

*) *Sull'unità della specie umana.* Torino.

fakty dziedziczności, przenoszą się w spadku od rodziców do dzieci. W ten sposób po dłuższym lub krótszym przeciągu czasu otrzymamy szczególną rasę psychiczną. Przeniesiona gdzieindziej, stanie ona na razie w sprzeczności z istniejącem i nowem dla niej otoczeniem. Ponieważ jednakże skala wahań osobniczych jest silną i znaczną, zawsze znajdą się osoby, więcej od innych przystosowane do nowych warunków i rozpocznie się dalsza sprawa wżycia. Lecz nabyte dawniej cechy mogą długo przetrwać. Są np. ludy, żyjące od wieków nad morzem, względnie wysoko posunięte, które jednakże nie znają łodzi, nie mogą znieść pokarmu rybnego, mgły i wilgoci, to starczy, aby odnieść ich pochodzenie do suchych stepów lądowych. W ten sposób właściwości psychologiczne mogą służyć za źródło do wskazania przesiedlań pewnej grupy ludzkiej. Naturalnie odłam taki, psychicznie przystosowany do pewnych warunków, a przeniesiony w nader odmienne, musi czuć silną tęsknotę świadomie i bezwiednie za dawnem otoczeniem. Cóż uczyniłby beduin w lodach Grenlandyi, eskim w oazach Arabii, góral w stepach Azyi, mongoł w wąwozach Himalajów? I oto stajemy wobec szczególnego patryotyzmu — organicznego. Naturalnie ten wpływ martwego otoczenia wraz z jego „klimatycznym“ patryotyzmem jest tem silniejszy, im kultura jest niższą. Ale w miarę wzrostu pomiędzy człowiekiem a przyrodą atmosfery rzeczowej narzędzi i sztuk, pierwszy poczyna się uniezależniać od martwych warunków; natomiast sam ustrój społeczny z jego urządzeniami zaczyna wywierać wpływ podobny, wyrzucając ze społeczeństwa jedne, zatrzymując i przenosząc w dziedzictwie inne typy.

Słowem idzie tu o psychologię oddzielnych odłamów ludzkości. Jak rodzą się szczególne własności psychiczne? Jak zmieniają się one pod wpływem szczególnych warunków? Jak jeden typ psychiczny może przejść w inny? Jak oddziaływa ustrój społeczny na naturę duchową człowieka? Wszystko to są pytania podjęte przez tegoczesną antropologię. Wiedza przystępuje do badania ich uzbrojona wszystkiemi metodami ścisłości. Dzisiaj jednakże odbywa się dopiero zrzucanie dawnej szaty anegdot i paradoksów. Prace jednak w rodzaju Biazziego są wskazówką, że niedługa to chwila, gdy etnopsychologia wejdzie w skład antropologii jako zupełnie uprawniona nauka. Jedynie zależność człowieka od warunków geograficznych — etnografia — została bliżej określona i ona to przroduje rozwojowi innych poszukiwań w zakresie antropologii psychicznej.

—ki.

LITERATURA I SZTUKA.

ESTETYKA PRZECIWKO NATURALIZMOWI.

Podczas gdy powieść i dramat coraz bardziej unosić się dają powodzi naturalizmu, głoszącemu bezmyślne fotografowanie życia, teoretycy bronią sztuki idealnej w kompozycyi i w technice. Mamy przed sobą dwie nowe prace, z których pierwsza opiera się na gruncie czysto filozoficznym, druga wyprowadza swe wnioski z obserwacyi utworów wzorowych. „Mysterium der Kunst“ *) określa zadanie sztuki w myśl Arystotelesa: zadaniem tem jest realizowanie idei piękna, czyli stwarzanie oczyszczonego obrazu rzeczywistości. Wszyscy poeci prawdziwie wielcy byli idealistami w pomyśle, relistami w upostaciowaniu. Nie znali oni realizmu przeciwstawionego idealizmowi, podobnie jak przyroda przeciwstawienia takiego nie zna. Niema w niej idei niepołączonej z pierwiastkiem realnym, niema przedmiotu realnego niepołączonego z ideą. Całkowita jedność wszechrzeczy, bezwzględna identyczność pierwiastku idealnego i realnego jest prawem bytu, z pod którego wyłamywać się nie może człowiek, ani dzieło jego. Idealizm i realizm nie powinny być uważane jako przeciwieństwa; rozdzielone, stają się bezsilnemi. Podobnie jak świat jest nietylko bytem wiekuistym, jak w bycie widzimy powstawanie i znikanie, a w bezustannych zmianach zjawisk duch spokojnego bytu, tak w sztuce ludzkiej połączenie idei z realizmem oznacza zdrowie, zgodę z prawami wszechistnienia. Przeciw naturalistom skrajnym zwraca się Marbach w słowach następujących: „Żaden człowiek, ani prosty, ani wykształcony, nie żąda od sztuki, aby istotnie wywołała w nim iluzyę, że widzi rzeczywistość przed sobą. Nawet od najmodniejszych wytworów sztuki plastycznej, od panoram, dioram i cykloram, obliczonych niejako wyłącznie na złudzenie, nie wymagamy tego. Nikt nie chce oddychać prochem w instytucyi takiej, nikt lubować się tam nie pragnie widokiem i zapachem krwi i trupów...

Artyście twórczemu rzeczywistość nie długo służy. To, co on zawdzięcza swym zmysłom, jest wątkiem przypadków, nagromadzeniem obrazów niejasnych, podczas gdy stwarzać musi wyobrażenia jasne, zrozumiałe i sympatyczne. Im bardziej naturalista stara się oddać naturę zewnętrznie, bezmyślnie, tem bardziej ona z pod rąk mu się wymyka, jako chaos, którego oddać niepodobna.

Henryk Bülthaupt głośne wyrobił sobie imię jako autor „Dramaturgii opery“ i „Dramaturgii klasyków.“ Dążność do przedmiotowości, nieuprzedzone ocenianie wszystkich w sztuce kierunków, sprawiły, że wszystkie szkoły tego estetyka zaliczać poczęły do swych zwolenników. Najnowsze dzieło jego „Dramaturgie des Schaupiels“*), stanowiące ciąg dalszy „Dramaturgii klasyków,“ wyraźniej nieco zaznacza stanowisko autora, a jest to stanowisko nieprzychylne nowoczesnemu naturalizmowi w dramacie. Bülthaupt rozbiera utwory Grillparcera, Hebbla, Ludwiga, Gutzkowa i Laubego, wysnuwając z nich prawidła kompozycyi dramatycznej. To, co na podstawie owych utworów głosi o istocie bohatera tragicznego i konieczných jego własnościach, dalej o naturze samego pierwiastku tragicznego jest trafnem i subtelnem, acz kolwiek nie zawiera nowych poglądów: dochodzi on do tych samych wniosków, do jakich przed nim doszedł Ludwig w nieocenionem dziele swem „Shakespearestudien“ i Freytag w „Technik des Dramas.“ Że bohater tragiczny nie musi być człowiekiem o zakroju istotnie heroicznym, że może być naturą słabą, ginącą w walce z życiem, że nie musi być czynnym niezbędnie, że jednak upadek i zgon jego nie powinien być skutkiem pomyłki lub przypadku, lecz wynikiem woli, że nie powinien być kpem ani idyotą, nieposzającym odpowiedzialności za czyny własne — wszystko to rzeczy znane. Atoli Bülthaupt użył kilku sposobności, by w obronie idealistycznego realizmu wystąpić przeciw nowoczesnemu realizmowi skandynawskiemu i niemieckiemu. Zarzuca on Ibsenowi, że zamiłowanie jego do prawdy w ostatnich dramatach przemieniło się na manię. Bülthaupt zapomina, że taki Gregerwerle jest tragicznym przedstawicielem dążenia do prawdy; żąda, aby język poetycki wyrażał się zawsze obficiej, aniżeli mowa rzeczywista, gdyż oddać ma nietylko to, co dany charakter w odnośnej chwili prawdopodobnie by wyrzekł, lecz i to, co w duszy jego wówczas dziać by się musiało. Jest to warunek poezyi retorycznej, która dziś w utworach Schillera razi nas tak bardzo. Bülthaupt zapomina dalej o grze aktora, która uzupełnić winna słowa poety a której największy mistrz dramatu, Shakespeare, najszerzej pozostawia pole w swych utworach, poprzestając w chwilach najtragiczniejszych na słowach najkrótszych.

L.

*) Lipsk, C. L. Hirschfeld, 1890.

*) Oldenburg, Schulze, 1890.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Ironia natury w cząstkowem zaćmieniu słońca — Atlanci europejscy. — Pożegnanie Teatru Wielkiego. — Kaplica i nawa świątyni. — Wymagalność *Przeglądu katolickiego*. — Kto mu nie dogodził. — Przestroga dla motylków. — Wypadek na Wiśle. — Ofiary mniemanej „dzielności.“ — Potrzeba zaostrzenia regulaminu. — Narada i dziwna uchwała chmielarzów. — Kolonie letnie. — Obowiązek społeczny.

Była to rzeczywiście złośliwa ironia natury! Dnia 17 czerwca 1890 r. przypadło w Europie zaćmienie słońca cząstkowe. Gdy astronomia zjawisko to przepowiadała, nie każdy jej wierzył i wielu raczej przypuszczało, że nastąpi zaćmienie całkowite, nawet bez wytrysków świetlanych z pod tarczy księżyca. Niewiara owa pochodziła stąd, że astronomowie liczą, a zwykli ludzie tylko rozumują; pierwsi badają ruchy ciał niebieskich, drudzy zaś poszukują symbolów dla swych myśli. Tym ostatnim zdawało się, że słońce, które wiecznie patrzy na bieg spraw ludzkich, dojrzało zapewne, że blask jasnego dotychczas skrawka ziemi przygasł, że więc ono zasmucone lub gniewne powinno swą twarz promienną zasłonić zupełnie. Być może, że nawet chciało to uczynić, ale natura nie pozwoliła mu pogwałcić swych niezmiennych praw. Bądź co bądź, Europa, jedna z najbardziej mrocznych dziś części świata, miała zaćmienie częściowe wbrew logice podobieństw. Herodot opowiada, iż atlantowie, mieszkający we wnętrzu Afryki, lżyli codziennie słońce przy wschodzie za to, że im pola wysusza. Takimi atlantami zaludniona jest obecnie znaczna część Europy. Doszli oni również do przekonania, że wielkie światło wiedzy, sztuki, szlachetnych uczuć i moralnych celów wyjaławia im życie; dopóty więc je znieważali, zdmuchiwali i gasili, aż wreszcie ono zaćmiło się całkowicie i obecnie zadowolonym barbarzyńcom wystarcza jasność cienkiej obrączki słońca, wyglądającej z pod nakrycia go kręgiem księżyca. Niedawno przecie największa powaga Europy, ks. Bismark oświadczył, że zbytnia nauka jest szkodliwą; czyż to nie jest znakiem zaćmienia całkowitego? Jeżeli więc ono nie odbyło się w naturze, to trudno z jej strony nie dopatrzeć złośliwej ironii. A może ona chciała ludziom powiedzieć: nie żałuję i nie naśladuję was; ja moją pochodnię przyćmiewam na minuty, a wy swoje na lata; nie mam z wami nic wspólnego, nietoperze...

W świecie sztuki, tej sztuki, którą my jedynie kochamy gorąco i szczerze, trwać będzie zaćmienie cząstkowe przez rok lub dwa. Teatr Wielki został zamknięty i poddany gruntownej restauracyi. Nie był on nawą naszej „świątyni,“ ale boczną jej kaplicą, gdyż opery tworzymy bardzo rzadko, a dramatów i tragedyj swojskich nie lubimy oglądać na scenie. Dla komedyi i farsy, wogóle dla „zabawy i śmiechu,“ które „nosimy w sobie,“ pozostał Teatr Rozmaitości, główna arena popisów, główny przedmiot marzeń autorskich i aktorskich. Gdyby tę nawę potrzeba było odrestaurować i na czas jakiś zamknąć, doprawdy nie wiem, czy przestrzeń świata pomieściłaby wszystkie nasze jęki, skargi i rozpaczliwe wróżby. Nieraz bowiem przy

czytaniu niektórych pism warszawskich zdaje się, że jeśli wogóle istniejemy i jesteśmy tem, czem jesteśmy, jeśli posiadamy jakąś literaturę, naukę, sztukę, białostockie korty, ciechanowski cukier, moczydłowskie konie, dwa wyznaniowe Towarzystwa subjektów handlowych, sprężystych cyklistów, p. Lewentala i Czesława, to tylko dzięki Teatrowi Rozmaitości. Mijając ten centralny organ naszego życia, tę szanowną instytucyę, dlatego tylko nie zdejmuję kapelusza, ażeby *Przegląd katolicki* w moim objawie czci nie dojrzał jakiejś zdrożnej manifestacyi na niekorzyść jego świętych przybytków i osób. Znając pochopność tego komisarza naszej prasy w awizowaniu mi paszportu do piekła, przypuszczam, że gotów byłby on obwieścić wszystkim wiernym: dla tego bezbożnika więcej znaczy panna Czaki i p. Tatarkiewicz, niż św. Jadwiga i św. Jan, co byłoby wierutną nieprawdą, gdyż moi święci nie przebywają w teatrze. Wracając do Wielkiego, winienem zaznaczyć, że pomimo podrzędnej jego roli, przed wdzianiem żałoby po zmarłym staruszku i zamknięciem wieka jego trumny, która ma się stać kołyską odrodzonego zeń potomka, oddano mu wszystkie należne honory: odfotografowano nieboszczyka, obrzucono wieńcami, wystrzelono ze wszystkich armat i karabinów dziennikarskich i postawiono mu nagrobek z napisem: tu leży ten, który brzmiał głośno, bo był zwykle pusty.

Wspomniałem o możliwym gniewie *Przeglądu katolickiego*. Niech nikt nie sądzi, ażeby temu równie nieomylnemu, jak świątobliwemu organowi łatwo było dogodzić. Pomijam siły własne, za słabe dla tak wielkiego zadania, ale nawet mocniejsi ode mnie w tym względzie chybiają celu. Oto np. Promyk, człowiek i pisarz bardzo pobożny, w kornych ukłonach przed księżmi wielce zasłużony, spędzający *Gazetą świąteczną* owczarnię do plebanii, dostał się na *indeks*. Zdawało mu się, że z katechizmem można sobie tak począć, jak z podręcznikiem o jedwabnictwie: więc przestydiował odnośne książeczki, wybrał z nich złote prawdy, uporządkował je i wyłożył po swojemu, uzyskał zatwierdzenie cenzury duchownej, aż tu pewnego dnia otrzymał od *Przeglądu katolickiego* wyrok potępiający z uwiadomieniem, że popełnił dzieło „masońskie." Wyliczono mu sześć kolumn grzechów i nie byle jakich! Tak np. powiada on: „Szatani starają się kusić ludzi." — A *Przegląd* na to: „Nietylko starają się, ale i kuszą." Bagatela! Promyk twierdzi: „Słowa: „siedzi na prawicy Boga Ojca" znaczą, że Pan Jezus siedzi w niebie po prawej stronie obok Boga Ojca." — „Najzupełniejsza herezya antropomorfitów!" — woła *Przegląd* i naturalnie musi mieć racyę, chociaż, jeżeli Promyk popełnił „herezyę," to w takim razie nie wiem, co właściwie owe „słowa znaczą." Nie wiem i nawet nie próbuję odgadnąć, bo jest to orzech dla mnie za twardy. Usuwam na bok Prószyńskiego, który jest człowiekiem pobożnym, ale świeckim; skoro wszakże nawet cenzor duchowny, osoba w tych rzeczach biegła, nie poznał się na „herezyi antropomorfity," masoństwie i niezliczonej ilości błędów, to któż może posiadać najdrobniejszą okruszynę wiedzy, której cała masa mieści się w mądrości *Przeglądu katolickiego*? Co najwyżej pozwolę sobie wyciągnąć przestrogę dla przyszłych naśladowców Promyka: nie lećcie motylki do katechizmowej świecy, bo nie rozjaśnicie nią ciemności, a sobie opalicie skrzydła. Jest to bardzo pożyteczna nauka.

Życie dało również przestrogę „dzielnym wioślarzom." Kilku ich wyjechało w dół Wisły; niespokojna fala przewróciła łódkę i wyspypała całą załogę, z której trzech młodzieńców utonęło. Jeśli zważymy, że Wisła nie jest ani morzem, ani wielkiem jeziorem; że obecnie, pomimo przyboru, ma nurt głęboki dość wązki; że miejsce zatonięcia odległem było od brzegu zaledwie o 60 kroków, a od mielizny jeszcze mniej; że sternik, który ocalał — jak opowiada w *Kuryerze codziennym* — „po chwili" trafił na wodę płytką; że wkrótce z przejeżdżającego statku pospieszono na ratunek; że pięciu mogłoby dać pomoc trzem towarzyszom — to otrzymamy następujące wnioski: 1) cała załoga nie umiała pływać dobrze i 2) trzej, którzy utonęli, nie umieli pływać wcale. Tymczasem zdaje mi się, że umiejętność pływania powinna być pierwszym warunkiem nietylko dla „dzielnych," ale wogóle dla wioślarzów; jest to zaś dla nich warunek niezbędniejszy nawet, niż chodzenie dla jeżdżących konno; bo kto spadnie z konia, może leżeć i czekać, aż go podniosą. Niestety, o tem w regulaminie lub w wykonywaniu go zapomniano. W Towarzystwie znalazł się znaczny procent wioślarzów, którzy „pierwej niż chodzić, uczyli się biegać," którzy swe uzdolnienie ograniczyli do noszenia z wdziękiem kostiumu, uczestniczenia w wycieczkach i balach. To też gdyby ktoś wszystkich członków tej instytucyi rzucił w toń o średnicy 20-łokciowej, z pewnością połowa opadłaby na dno, a czwarta część z trudem utrzymałaby się na wierzchu. Wolno każdemu należeć do Towarzystwa i opłacać składki; ale nie każdemu powinno być wolno używać łódek samodzielnie, a nawet należeć do wypraw ryzykownych. Kto nie umie pływać, niech pozostanie tancerzem i co najwyżej styka się z wodą za pośrednictwem przystani. Towarzystwo musi w tym kierunku zaostrzyć swój program, jeżeli chce zapobiedz powtarzaniu się podobnie nieszczęśliwych i — powiedzmy szczerze — niezaszczytnych dla niego wypadków. Bo trzy ofiary z dziewięciu osób załogi na mizernej Wiśle, po której statki parowe ledwie przesuwać się mogą wązkiem łożyskiem nieco głębszej wody — to nie mieści się w zwykłe ramy zdarzeń nieszczęśliwych; trzeba coś odjąć na lekkomyślność.

Narada chmielarzów w Warszawie, oprócz uchwały, zachęcającej do zwiedzenia celnych upraw tego produktu za granicą, zrodziła wynik, równie dziwny, jak niespodziewany, mianowicie postanowiono zatamować dalsze, nadmierne sadzenie chmielu. Co to znaczy? Zaledwie przed paru laty wykazywano cyframi nasze ubóstwo w tej gałęzi przemysłu, możliwość rozwinięcia jej w wielkim zakresie z nadzieją zbytu miejscowego i wywozowego, napędzano ziemian do zakładania chmielników i już dziś potrzeba komenderować: nazad? Czy rzeczywiście produkcya nagle zolbrzymiała, czy też dotychczasowi jej uczestnicy chcą się ubezpieczyć od współzawodnictwa i ubytku zysków? Naturalnie dopóki nie mamy szczegółowego i sumiennego rachunku, trudno sprawę rozstrzygać; w każdym razie stoimy wobec zjawiska zdumiewającego, niemal zagadkowego. Z pewnością nikt w Czechach lub Bawaryi, gdzie uprawa chmielu doszła do wielkich rozmiarów, nie zawołał jeszcze: dosyć! A u nas już okazał się zbytek? Szczególny wypadek, tak szczególny, że tylko podziwiać go można.

Czyżby i dr. Fritsche miał kiedyś zawołać: dosyć ofiar na kolonie letnie? Rozwijają się one bowiem tak szybko, jak chmielniki. W r. 1882 wysłano na wieś ubogich dzieci 52, w minionym 417, a w obecnym prawdopodobnie jeszcze więcej. Nadto w następstwie dobroczynne to przedsięwzięcie będzie już posiadało własny dom z ogrodem, niedaleko Warszawy. Dr. Fritsche w swojem sprawozdaniu wyraża kilka życzeń, mianowicie: ażeby urządzono osobną kolonię letnią płatną dla dzieci rodziców średniozamożnych; aby utworzono stały dla tej sprawy komitet z dam, któryby, przy pomocy lekarzów, rozciągał troskliwą opiekę nad wychowańcami i aby jedna kolonia przeznaczona była dla dzieci chorych, zwłaszcza skrofulicznych. Wszystkie te marzenia spełniłyby się łatwo, gdyby na taką ilość zasług, jaką złożył dr. Fritsce, zdobyło się kilka równie chętnych i energicznych osób. Pamiętać winniśmy, że biedne dzieci miejskie, gdzieindziej rozwijające się fizycznie pod skrzydłami rozmaitych instytucyj, u nas mogą doznać ulgi w swym losie tylko od dobroczynności prywatnej. Jeżeli zaś już szczęśliwa ręka rzuciła w grunt nasz ziarno rozumnego miłosierdzia i jeżeli ono rozwija się i dojrzewa pomyślnie, pomagajmy mu wyrosnąć do tej miary, jaka nam jest potrzebną. Kolonie letnie dla ubogich dzieci — to obowiązek społeczny, którym powinniśmy dobrowolnie się obciążyć i wedle możności opodatkować. Powtarzam: opodatkować i niech komitet bez skrupułu ułoży listę poborową.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Postępy Radomia. — Co go dzieli od europejskości? — Zasługi *Kaliszanina*. — W obronie miast. — Potworne zwyczaje. — Słuszne zażalenie.

Niedawno na tem samem miejscu donosiliśmy o otwarciu Bazaru pracy kobiecej w Lublinie; obecnie zanotować musimy, iż podobną instytucyę zaprowadzi wkrótce u siebie — Radom. Jak *Gazeta* tamtejsza zapewnia, Bazar otworzony będzie w połowie lipca r. b. Ma on na wzór warszawskiego przyjmować w komis wszelkie wyroby kobiece, jak też i zamówienia na nie. Tem zaś odróżni się od warszawskiego, że ma być prowadzony pod firmą pojedynczej osoby, gdy tutejszy stanowi wspólkę licznego grona uczestniczek. Przyjmować on będzie do sprzedaży: bieliznę damską i męzką, całe wyprawki dziecinne, krawaty, wyroby pończosznicze, malowidła na drzewie i porcelanie itp. Słowem, będzie to instytucya na nogach kapitalistycznych, pod której skrzydła mają się tulić pracownice, zarobkujące samodzielnie dotychczas, lecz za słabe, żeby mogły same bez pomocy cudzej docisnąć się na rynek. Pracownice te, jak *Gazeta radomska* stara się przekonać, są wyzyskiwane niemiłosiernie. Zanadto jestem przeświadczony o wszechobecności wyzysku pracy cudzej, jako zasady powszechnie obowiązującej, żebym miał o tem wątpić, ale radbym dokładniej wiedzieć, kto i w jaki sposób praktykuje niemiłosierdzie względem „pracownic" radomskich? Chciałbym np. wiedzieć, czy to dzieje się za sprawą właścicielek „pracowni kobiecych" (szwalnie, pończoszarnie — jeśli one w Radomiu istnieją), czy też innego rodzaju pośredników między wytwórczyniami a światem spożywającym, i o ile tu jest winną — *rasa?* Inaczej zdarzyćby się mogło, iż nowa przedsiębiorczyni — ponieważ Bazar niema się opierać na spółce „licznego grona uczestniczek," jak w Warszawie i Lublinie — występując do walki z dawnemi, nosiłaby na sobie przypadkiem zbyt dużo cech dobrodziejki i zaginęłaby właściwa miara jej zasługi społecznej.

Tak więc, Radom już ma: Towarzystwo dobroczynności, kuchię tanią, czytelnię bezpłatną, zawiązki „Lutni," dostanie wkrótce Bazar pracy kobiecej, w niedalekiej przyszłości klub cyklistów, ba, jeśli p. Rewoliński położy kamień węgielny z swoich numizmatów — może nawet muzeum starożytności; długo jednak nie będzie podobnym, pomimo tylu dobrych zadatków, do miasta europejskiego, tak długo, jak, aż jego jedyny organ prasy, *Gazeta radomska*, nie przestanie przy sposobności zaznaczać na czele numerów, że od półtrzecia roku, tj. od chwili objęcia przez p. Wróblewskiego redakcyi, od *niewypłacalnych prenumeratorów* i pomieszczających ogłoszenia zalega należność przenosząca 1,600 rs.!

Kaliszanin również podnosi głos, z powodu dwudziestolecia swego istnienia. Wy-

licza swoje zasługi położone na polu działalności, wskazuje dziedziny życia społeczno-gospodarczego swojej prowincyi, niewyzyskane jeszcze, i prosi czytelników o poparcie. Pragnie, żeby go życzliwie przyjmowano nietylko w miejskiej kamienicy, w wiejskim dworze i na plebanii, lecz byłby najszczęśliwszym, gdyby się przed nim gościnnie rozwarły drzwi chałupy włościańskiej. Z tem ostatniem życzeniem łączę i moje. *Kaliszanin* chciałby się stać nietylko dokładną soczewką skupiającą w swojem ognisku wierny obraz życia gospodarczo-społecznego, lecz także drogowskazem dla niego, opromienionym czcią dla tradycyi i „zdrowym postępem czasu,“ któryby, dodajmy od siebie, nie plątał wątku przeszłości. Ulepszenia dróg wiejskich, rozwój środków przeciwogniowych, przeciwdziałanie emigracyi, zachęta do krzewienia drobnego przemysłu śród ludu wiejskiego — oto wiązka dobrych chęci, z którą to pismo prezentuje się przed ogółem i usiłuje zjednać od niego poparcie na dalszej drodze żywota.

Kaliszanin usiłuje oziębić zapał p. Glogiera do wsi. Od pewnego czasu ten szanowny ziemianin-starożytnik jest tak upojony krasą wsi, tej szczęśliwej i pogodnej Tebaidy swojej, że upodobanie osobiste w martwocie umysłowej i społecznej na wsi chciałby przelać we wszystkie serca, zsielszczyć cały świat. Naturalnie, jako przeciwstawienie wsi— miasto w oczach p. Glogiera, szczególnie prowincyonalne, jest stekiem przywar. Otóż *Kaliszanin*, jak może, tak broni miejskości zagrożonej przez szlachcica. „Przy utrudnionym dostępie do szkół — powiada — przy ogólnym niedostatku, jeszcze stosunkowo więcej znajdzie można w miastach ludzi ze średniem wykształceniem, niż na wsi, więcej w szkołach dzieci: urzędników, lekarzów, kupców, rzemieślników, niż obywateli wiejskich, właścicieli i dzierżawców. Więcej daleko w Towarzystwie miejskiem znajdzie można ludzi z uniwersyteckiem wykształceniem, niż w wiejskiem, gdzie zaledwie drobną cząstkę spotkać ich można. Znacznie większą połowę pism czasowych prenumerują miasta, kiedy wsi ledwie na mniejszą się zdobywają. Pewna ociężałość, do jutrkostwa, upodobanie w kartach, są zarówno wadami społeczeństwa miejskiego jak wiejskiego, są może chorobami wieku, następstwem wielu okoliczności. Pomimo to w miastach zawsze jest ruch: towarzystwa kredytowe, wioślarskie, dobroczynności, kasy przemysłowców, tanie kuchnie, resursy wreszcie — czyż nie są oznaką pewnej żywotności? Wieś w tych sprawach żadnego nie bierze udziału, i ani zabaw, ani prac miasta podzielać nie chce.“ Przerywam cytatę, bo od tego miejsca rozpoczyna się naiwne utyskiwanie na przepaść dzielącą społeczeństwo miejskie od wiejskiego, zjawisko niepożądane dla pewnych drażliwych względów równie dla *Kaliszanina*, jak i dla jego inaczej pokostowanych towarzyszów. I dla mnie antagonizm ten ze stanowiska humanitarnego nie byłby pożądanym, gdyby nie mocne przekonanie, że koło dziejów ludzkości po drodze zażartej walki toczyć się musi w krainę szczęścia, pojednania, braterstwa... *Kaliszanin* ubolewa nad „sianiem“ niechęci „między różnemi warstwami społeczeństwa, które acz różnemi, ale zawsze do jednego celu dążą drogami,“ to jest mają za metę: „umoralnienie jednostek, podniesienie wykształcenia i dobrobytu ogółu, przy poszanowaniu tradycyi i uwzględnieniu *zdrowych zasad* postępu...“ Westchnienie tylko poślę w tym kierunku, a kiedy wpadnę w sen, to może uwierzę, iż między przepaściami społecznemi wystarczy za most żelazny sieć pajęcza sentymentów bezklasowości...

Ale wróćmy do jawy. *Dziennik łódzki* odkrył w wielu fabrykach miejscowych szczątki feudalizmu, uprawianego przez najmitów pomiędzy sobą. Jest to barbarzyński zwyczaj „wkupna.“ „Każdy z robotników nowowstępujących do fabryki — powiada to pismo — zaraz w pierwszym lub drugim, a jeżeli zbyt widoczną jest na nim nędza, to najpóźniej w trzecim tygodniu po objęciu czynności zapłacić musi swym kolegom *haracz*, przewyższający często sumę jego zarobku tygodniowego. Łatwo wyobrazić sobie rozpaczliwe położenie robotnika, który, poszukując długo roboty, przetrawił wszystkie oszczędności, ogołocił się z najniezbędniejszych przedmiotów codziennego użytku, wygłodził się może wraz z rodziną i znalazłszy wreszcie deskę zbawienia, znajdzie się nagle wobec brutalnej konieczności oddania obcym pierwszych groszy zapracowanych. A biada mu, jeżeli zechce stawić opór. Koledzy będą mu dokuczali na każdym kroku obelżywymi docinkami i insynuacyami, nikt nie dopomoże mu do oryentowania się w nowych warunkach pracy, otrzyma zawsze informacyę błędną, pod ręką zabraknie mu narzędzi i materyałów, skutkiem czego każda robota zabierze mu nadzwyczaj dużo czasu i wypadnie źle. W dodatku koledzy przedstawią go przełożonemu w najgorszem świetle. Chcąc utrzymać się na stanowisku, musi wyrzec się zaspokojenia potrzeb własnych i rodziny, aby dogodzić kolegom. Pieniądze naturalnie pozostają w szynku, gdzie raczą się za nie nietylko koledzy, lecz także ich krewni, znajomi i znajome. Żebyż chociaż tem „wkupnem“ nowy robotnik wkupił się rzeczywiście w łaski swych starszych kolegów. Niestety, jeżeli zdarzają się takie wypadki, to nadzwyczaj rzadko. Prawie zawsze uraczeni prowadzą dalej rozpoczęte dzieło podkopywania i wszelkimi środkami starają się zniechęcić „wziętego na kawał,“ zmusić go do opuszczenia jaknajprędzej miejsca, które zajmie inny i nową sprawi „fundę“; często bardzo osiągają też cel zamierzony.“ Ciągłe zmienianie się robotników skutkiem tego nie jest podobno znane przedsiębiorcom w swej istotnej przyczynie i stoi w sprzeczności z interesem fabryki poważnej — jak utrzymuje *Dziennik*. Fabryce zależy na tem, żeby robotników przywiązać do siebie na dłuższy czas, a to dla uzdolnienia się ich technicznego; dla nas natomiast fakt ten stanowi smutny objaw niekarności klasowej, niewłaściwego użycia walki... Oprócz tego haniebnego zwyczaju, w łonie robotników praktykowanego, istnieje niemniej wstrętny inny, po za ich plecami, lecz kosztem tych ostatnich uprawiany zwyczaj. Jest w Łodzi spora liczba faktorów, utrzymujących się z pośredniczenia między robotnikami a przedsiębiorcą w zdobywaniu korzystniejszych miejsc w fabrykach. „Faktorzy tacy, często do spółki z rozporządzającymi posadami w fabrykach — powiada rzeczone pismo — eksploatują niegodziwie pracowników. Gdy który z tych ostatnich, za ich pośrednictwem, zajmie pożądane miejsce, używają wszelkich intryg i podstępów, ażeby go wysadzić, chodzi im bowiem o to, żeby jaknajwięcej było poszukujących pracy.“ Panuje tam jeszcze inny szkaradny zwyczaj, ale już między nowicyuszami nieuzdolnionymi, a ich pomocnikami, to jest, ludźmi specyalnie w tym celu utrzymywanymi lub robotnikami, którzy w innych oddziałach fabryki pracują. Ci pomocnicy domagają się często od robotników wynagrodzenia w gotówce lub też poczęstunku, jeśli zaś to nie nastąpi — mszczą się w rozmaity sposób. W chwili największej potrzeby najmita naprożno oczekuje od nich pomocy i stać musi bezczynnie, nim pomocnik spełni swój obowiązek niechętnie. Jeśli jest płatnym od sztuki — dużo na tem traci. Często zniecierpliwiony długiem oczekiwaniem a żałując czasu, sam bierze się do roboty do niego nienależącej i z którą jest źle obeznany. To bywa powodem nieszczęsnego wypadku. *Dziennik łódzki* podaje przykład, kiedy pewien ślusarz, pracujący w warsztatach mechanicznych jednej z tamecznych fabryk, nie mogąc się doczekać zaprawienia narzędzia przez kowala, źle dlań usposobionego, sam podszedł do młotka parowego z kawałkiem żelaza, któremu chciał nadać kształt odpowiedni. Skutkiem nieumiejętnego użycia, młot, uderzywszy w jeden koniec żelaza podsuniętego, drugim oderwał robotnikowi palec i mocno skaleczył mu nogę.

Ci ludzie solidarności uczyć się winni od prostych dziewcząt (zapewne także najmitek) lubelskich. Z powodu, iż ubóstwo i uczciwość nie pozwala im stroić głowy w kapelusze, tylko w odkryte, naturalne włosy, wzbroniono im wstępu do ogrodu publicznego, którego świeże powietrze równie prawowicie im się należy, jak pierwszej lepszej elegantce i kokocie. Wystosowały do redakcyi *Gazety lubelskiej* następującej treści skargę: „Przepraszamy najmocniej, iż ośmielamy się zrobić zapytanie Panu, dlaczego dziewczętom nienoszącym kapeluszy, wstęp do ogrodu tak zwanego Saskiego czyli miejskiego wzbroniony; czy te tylko są porządne, które chodzą w kapeluszach? Kapelusz każdy nałoży, nawet ta, która przed kilku dniami przybyła do Lublina w sukmanie. Dozorca, który stoi przy wejściu, nie powinien uważać na kapelusz, tylko na czystość ubrania, choćby skromnego — i przyzwoite zachowanie się.“ Tak, niewątpliwie, macie najzupełniejszą słuszność, biedne ofiary naganej pieczołowitości nad elegancyą.

Z. Atanazy.

PRASA RUSKA.

Journ. de St. Petersbourg i *Dień* podają szczegóły dotyczące sprawy aresztowań rewolucyonistów obcych w Paryżu:

„Bomby oraz inne przyrządy, znalezione u anarchistów, były widocznie zrobione przez nader zręcznych i niezmiernie śmiałych chemików. Oprócz tych narzędzi burzących, u jednego z terorystów, Lawreniusa, znaleziono najstraszliwsze trucizny rtęciowe (prawdopodobnie, cyanek rtęci), które jednym wyziewem mogą zabić osobę, wdychającą je. Takie same trucizny znaleziono u Dębskiego, jednego z trzech ruskich studentów, którzy wykonywali próby w okolicach Zurichu, przyczem dwaj zostali zabici skutkiem wybuchu.“

„Analizy w municypalnem laboratoryum chemicznem (Paryż) — powiada *Swiet* — jeszcze trwają, a wynik będzie wiadomy dopiero za kilka dni, ale już teraz stanowczo stwierdzono, że znalezione u „nihilistów“ związki chemiczne są albo niezmiernie niebezpiecznemi substancyami, albo też silnie działające trucizny. Chemik Girard, pod którego kierunkiem są prowadzone rozbiory, oznajmił, iż może teraz śmiało stwierdzić, że gdyby odebrane terorystom wybuchowe materye zostały objęte płomieniem jednocześnie, nastąpiłby taki wybuch, że cały olbrzymi gmach prefektury policyjnej wyleciałby w powietrze...“

Swiet dodaje od siebie:

„Teraz już stało się zupełnie jasnem i oczywistem, że ludzie nazywający się ruskimi anarchistami, są z zasady nieprzejednanymi wrogami idei państwa, prawa i porządku społecznego, jakkolwiek byłby on dobry i doskonały (!) Europa powinna się przejąć przekonaniem, że niebezpieczeństwo, grożące ze strony tych żywiołów terorystycznych, jest tak dalece wielkie, że dla usunięcia go niezbędną jest solidarność wszystkich państw, a przedewszystkiem *wspólne międzynarodowe porozumienie* co do wydawania terorystów tym rządom, przeciw którym była skierowaną ich działalność destrukcyjna. Tylko tą drogą można okiełznać próby dokonania najstraszliwszych zbrodni...“

Bismark w rozmowie z korespondentem *Daily Telegrafu*, który potrącił o ten przedmiot, tak się wyraził:

„Nie, nihilistom nie należy robić żadnych ustępstw; wszystko to są mordercy, jeśli nie w czynie, to w zamiarach. Jedynym na nich środkiem jest obostrzenie i wzmocnienie prawa oraz zastosowanie go z większą ścisłością. O ustępstwach dla tych złoczyńców nie może być mowy.“

Śmiertelne szczątki nieśmiertelnego poety, Adama Mickiewicza, sprowadzone będą z Paryża do Krakowa i złożone w grobach Wawelu dnia 30 b. m.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Według ostatniego rozporządzenia głównego zarządu poczt i telegrafów, urzędnikom, którym za ukończenie z odznaczeniem szkoły telegraficznej przyznano płace dodatkowe, należy potrącać od dodatków tych na równi z płacą etatową 6% na rzecz kasy emerytalnej pocztowo-telegraficznej.

— Projektowane zmniejszenie od połowy r. b. etatu osobowego kantoru Banku państwa w Warszawie o 38 urzędników, odłożono do roku przyszłego.

— Z rozporządzenia dyrekcyi teatrów rządowych ograniczono przedsiębiorcom prywatnych widowisk ogródkowych możność wydawania bezpłatnych biletów wejścia tylko do 9-ciu, które muszą nosić oprócz pieczęci podpis wiceprezesa dyrekcyi teatrów rządowych i kontrolera urzędowego w teatrzyku.

— Drukarze lwowscy obchodzą 23 b. m. uroczyście 450 rocznicę wynalezienia druku przez Gutenberga. Jednocześnie odbędzie się wystawa książek.

— W Gnieźnie powstaje zakład dla obłąkanych.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę kasy zaliczkowo-wkładowej dla osób pracujących w powiatowym urzędzie radomskim.

— Władza wyższa zatwierdziła kasę pożyczkowo-wkładową urzędników instytucyj miejskich i powiatowych w Będzinie (gub. piotrkowska).

— W raportach o wypadkach na dachach, przy robotach budowlanych, technicznych i fabrycznych, prawie zawsze wypadki te przypisywane są winie lub nieostrożności robotników. Po zbadaniu przyczyn p. oberpolicmajster znalazł inne powody: nieprawidłowe urządzenie rusztowań, brak odpowiednich przyrządów, zabezpieczających od spadnięcia z dachu, nieogrodzenie transmisyj, kół trybowych, odkrytych kotłów parowych itd. Wina zatem i odpowiedzialność przeważnie ciąży na osobach, którym powierzony jest nadzór nad robotnikami, jak niemniej na właścicielach fabryk i zakładów. Na podstawie tego będzie rozciągnięta surowa kontrola bezpieczeństwa robotników.

— W Petersburgu powstał projekt utworzenia kasy emerytalnej dla kupców 2-ej gildyi.

— Utworzono specyalną komisyę, która się zajmie opracowaniem ustawy kasy emerytalnej dla urzędników departamentu poczt i telegrafów.

— Otwarto w Warszawie VII szwalnię dla ubogich dziewcząt.

Szkoły. Ministeryum oświaty opracowało szczegółowy projekt, dotyczący otwierania szkół fachowych nowego typu. Niektóre szkoły realne ulegną przekształceniu.

— Opłata wpisowa w Instytucie inżenierów komunikacyi będzie wynosić 50 rs. rocznie. W r. b. przyjmowanie na kursy drugi i trzeci zostało pozwolonem.

— Przy wprowadzeniu prawa o szkołach przemysłowych na porządku dziennym postawiono otwarcie w roku przyszłym szkół technicznych i przemysłowych w Jekaterynosławiu, Petrozawodsku, Kazaniu i Złatouście, tudzież w osadzie Klincach gub. czernihowskiej. Do udziału w kosztach utrzymania szkół powołane będą miejscowe instytucye stanowe i społeczne. Jednocześnie wyznaczono wiele miast, w których progimnazya i szkoły rzemieślnicze będą przekształcone na niższe zakłady techniczne i przemysłowe.

— Ministeryum oświaty zamierza ustanowić inspektorów gimnastyki, którzyby czuwali nad jednością wykładu tego przedmiotu w gimnazyach.

— Z powodu, iż wielu terminatorów, uczęszczających do niedzielnych szkół rzemieślniczych, lekcye opuszcza najczęściej z winy majstrów, uwiadomiono tych ostatnich, iż według przepisów z r. 1816, aż dotąd obowiązujących, powinni wypełniać następujące punkty: 1) każdy majster obowiązany jest wszystkich terminatorów najpóźniej w ciągu trzech dni po przyjęciu zapisać do szkoły i dowód wpisu przedstawić magistratowi; 2) regularne posyłanie terminatorów do szkoły jest konieczne, a majstrowie, zaniedbujący się w tym względzie, mają być skazani administracyjnie na kary pieniężne od 30—75 kop. za każdy dzień nauki przez terminatora opuszczony. Od kary tej może tylko uwolnić wiarogodne świadectwo, że albo choroba, albo wyjazd ucznia z Warszawy spowodował jego nieobecność w szkole.

— Hr. Zyberg-Platerowa otrzymała pozwolenie na otwarcie w okolicach Warszawy oddziału zakładu rękodzielniczego, do którego będą przyjmowane uczenice nie młodsze nad lat 15. W szkole będą wykładane przedmioty, mające związek z gospodarstwem wiejskiem.

— Projektowane jest otwarcie w Petersburgu wyższej szkoły handlowej dla kobiet.

— W liście pasterskim 35 biskupów austryackich domaga się wskrzeszenia w drodze ustawodawczej katolickiej szkoły ludowej w Austryi.

— We Lwowie ma powstać w r. b. szkoła kadetów.

— Parlament węgierski uchwalił, iż język grecki będzie obowiązujący tylko dla tych, którzy się poświęcą studyom teologicznym, filologicznym i historycznym i to jednak w mniejszym niż dotąd stopniu.

Sprawy kolejowe. W głównej inspekcyi kolejowej opracowano projekt typu wagonów ratunkowych, wysyłanych z głównych linij na miejsca wypadków, dla uskutecznienia najpilniejszych robót około naprawy toru. Wagon taki mieścić będzie zapasy szyn, podkładów, zwrotnic, lewary, windę, narzędzia, kuźnię itd.

— Wskutek przedstawienia Towarzystwa przemysłu i handlu, kolej Dąbrowska, za przykładem innych przedsiębiorstw przemysłowych, przyjęła część kosztów w celu systematycznego badania pokładów węgla kamiennego w Rosyi.

— Ogólny fundusz gratyfikacyjny kolei Wiedeńskiej wynosi — 125,000 rs., z których 19,000 potrącono na wsparcia udzielone w ciągu roku, resztę, 106,000, przeznaczono do podziału na właściwą gratyfikacyę.

— Inspektor kolei w Królestwie Polskiem, p. Łaskin, rozesłał okólnik do wszystkich zarządów kolejowych, aby czynności biurowe zawieszano w dnie galowe i świąteczne obu stylów.

— Dyrekcya kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej wydała cyrkularz do wszystkich naczelników służby, aby nad pracownikami nowozwiązującymi rozciągana była jaknajściślejsza kontrola. Warunek porozumiewania się z organami policyi drogowej co do nowowstępujących dotyczy nietylko kandydatów na posady etatowe, lecz nadto obejmuje dyetaryuszów, rzemieślników i wogóle wszystkich, którzy pozostawać mają na służbie kolei przynajmniej dwa tygodnie.

— Między Nikopolem i Jekaterynosławiem ma być wybudowana kolej przez osoby prywatne bez gwarancyi rządowej.

Wiadomości administracyjne. Projektowane przez ministeryum przepisy o karach za wykroczenia przeciwko zdrowiu publicznemu zostały już zatwierdzone. Wyznaczone będą grzywny do wysokości 300 rs. lub kara zamknięcia w areszcie od 1—3 miesięcy.

— Przedstawiono do zatwierdzenia ustawę o ochronie lasów prywatnych, nad którymi ma czuwać straż rządowa na tych samych zasadach, co przy ochronie lasów skarbowych.

— Wniesiono do zatwierdzenia projekt środków przeciwko kradzieży koni. Między innymi jest projektowane bezwarunkowe wzbronienie cyganom życia koczowniczego, wydawanie świadectw, że koń jest własnością danej osoby, zabronienie prowadzenia handlu końmi bez przedstawienia takich świadectw.

— *Grażdanin* donosi w formie pogłoski, jakoby niedawno przesłano z Kijowa do Petersburga projekt rozporządzenia, które zabrania osobom pewnych kategoryj zajmować posady dyrektorów wszelkiego rodzaju przedsiębiorstw akcyjnych w guberniach południowo-zachodnich.

— Spis powszechny ludności postanowiono odbyć w drugiej połowie r. 1891. Na koszty ma być wyznaczony kredyt 3,080,000 rs. Od spisu r. 1891 prowadzone będą systematycznie tabele ludności.

Wystawy. W Moskwie istnieje zamiar urządzenia w jesieni wszechruskiej wystawy inwentarza mięsnego i mlecznego. Jednocześnie zwołany tam będzie wszechruski zjazd prowadzących gospodarstwo nabiałowe, doświadczonych mleczarzy i handlujących inwentarzem.

— W d. 18 b. m. odbyła się w Lublinie wystawa koni włościańskich. Za 17 koni właściciele otrzymali nagrody od 5 do 30 rs., ogółem 200 rs.

— Z powodu stuletniego jubileuszu Odesy, odbędzie się tam wszechruska wystawa artystyczno-przemysłowa.

— W petersburskiej wystawie więziennej biorą udział prawie wszystkie państwa europejskie i część azyatyckich.

— W Lipsku otwarto stałą wystawę artykułów spożywczych.

— W Bremie otwarto wystawę przemysłu i handlu półn.-zachodniego.

Jarmark na wełnę w Warszawie cierpi na niezmiernie słaby zbyt towaru. Dążność do obniżenia cen była znaczną i stałą. Niesprzedanej wełny pozostało 70,037 pudów.

Rolnictwo. Uznano za pożyteczne wydawanie zaliczek rolnikom na roboty irygacyjne.

— Główny zarząd stadnin państwowych roztrząsa projekt asekuracyi koni rolników od wypadków i pomoru.

— W Petersburgu powstaje biuro informacyjne dla rolników.

— Projekt utworzenia kredytu krótkoterminowego dla rolników rada państwa zwróciła ministeryum spraw wewnętrznych w celu zmian i uzupełnień.

Wiadomości literackie. Wstrzymane wydawnictwo gazety *Jużanin* zostało znowu dozwolonem.

Bibliografia. St. Giejsztor, *Katalog zbiorowy dzieł dawnych i wyczerpanych*. Warszawa.

— A. Mazanowski, *Stosunki wzajemne Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego*, str. 122, Warszawa, Centnerszwer.

— Dr. Ig. Baranowski, *Tytus Chałubiński*, str. 46, Petersburg.

— A. Potocki i L. Wasilewski, *Kwestyonaryusz* w sprawie czytelnictwa ludowego, str. 24, Warszawa, *Głos*.

— M. Brzeziński, *Co i jak nasz lud czyta?*, str. 16, Warszawa, *Głos*.

Wypadki. W Hiszpanii pojawiła się cholera w kilku miejscowościach.

— Z Londynu donoszą, iż w kopalniach Dunbar 40 osób zostało uduszonych skutkiem wybuchu gazów.

— W Cleveland (Ameryka) runęła trybuna cyrkowa; 200 osób poniosło w części śmierć, w części kalectwo.

Zmarli Juliusz Mien w Krakowie.

— Robert Hänzel, w Reichenbergu; wynalazca fotografii momentalnej.

— Władysław Dapsy w Peszcie, publicysta węgierski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu L. H. Fakty są zbyt jawne, ażeby zachodziła jakakolwiek wątpliwość, że mówiąc o samowoli w fabryce Zawiercia, mieliśmy na myśli p. M. nie zaś dwu innych dyrektorów.

Pani A. Ros. Może była tłomaczona w jakiemś piśmie; my nie skorzystamy z przekładu.

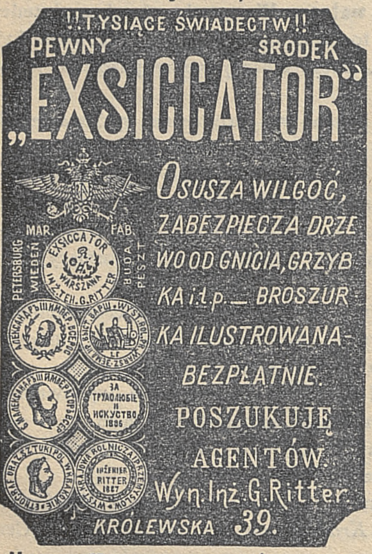
X. X. Stowarzyszenie „Jedność“ w Chemnitz (Saksonia) udziela bezpłatnie wszelkich informacyj, dotyczących szkół przemysłowych w Niemczech. Adres dla listów: Leon Ękert, Wiesenstrasse, 23, Chemnitz.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Karol Marks: Kapitał

wyszedł z druku zeszyt III i jest do odebrania w miejscach przedpłaty. Cena całego tomu rs. 3 kop. 50, z przesyłką rs. 4. Zeszyty II i III można nabywać oddzielnie po rublu. Skład główny w księgarni M. ARCTA, Nowy Świat 53. Do nabycia również we wszystkich księgarniach.

Nagrody z Wystaw za skuteczność: Warszawa 1885, Warszawa 1886, Kraków 1887, Symferopol 1888.



Uwaga. Upraszam o zwrócenie uwagi na markę fabryczną, gdyż wiele pojawiło się falsyfikatów.

WYSZEDŁ

7-ty ZESZYT

WIELKIEJ Encyklopedyi Powszechnej ILUSTROWANEJ S. SIKORSKIEGO

opracowany przez najznakomitsze siły naukowe i literackie, zawierający 12 rycin i jedną tablicę litografowaną.

W ciągu roku wyjdzie 24 zeszytów, stanowiących 3 tomy.

Cena każdego zeszytu w Warszawie 50 k.

Na przesyłkę pocztową dopłaca się 10 k. od zeszytu.

☞ Prenumeratorzy, opłacający odrazu należność za rok cały, czyli za 24 zeszytów (3 tomy), nie ponoszą kosztów przesyłki, **zapłacą więc tylko rs. 12, zamiast rs. 14 k. 40.**

Redakcya i administracya Chmielna Nr. 30.

Do AMERYKI.

BILETY JAZDY Holendersko-amerykańskiego Towarzystwa żeglugi parowej

NASM

w Kantorze Ekspedycyjnym **MAURYCEGO LUXEMBURGA,** Jeneralnego Ajenta Towarzystwa w Warszawie, Erywańska 6.

Wszelkie objaśnienia szybko i bezpłatnie.

☞ Najkrótsza, najszybsza i najtańsza podróż.

„Na Raty"

Lustra

sprzedaje miejscowym i na prowincyę

Fabryka zwierciadeł MAURYCEGO Silberberga

8, Rymarska, 8.

☞ Uprasza się o łaskawe zwrócenie uwagi na ***dokładny adres i Nr. 8,*** również na wywieszony **w wystawie napis firmowy.**

NASZE PERFUMY

wyrabiane wyłącznie przez

Warszawskie Laboratoryum Chemiczne

dorównywają przymiotami najlepszym perfumom angielskim, będąc o 40% od nich tańszemi. Dostać można w 15-tu pięknych zapachach.

Tomilek (Heliotrop).	Rozwoń (Magnolia).	Rezeda.
Konwalja majowa.	Róża mchowa.	Szczęśliwoń.
Fijołek.	Zamrocznia (Ixora).	Bodziszek różanny.
Bukiet Warszawski.	Świeże siano.	Przepyszlin (Gardenia).
Bukiet Łazienkowski.	Storczyk.	Kalina ordowid.

Jedyna cena flakonów oryginalnych 40 kop.

Dostać można: 1) Róg Miodowej i Senatorskiej, 2) Krakowskie-Przedmieście Nr. 1, 3) Róg Granicznej i Królewskiej, 4) Nalewki Nr. 31.

Wina Krymskie i Zagraniczne

oraz

COGNAC KRYMSKI

analizowany jako prawdziwy wyrób z wina i przez powagi lekarskie zalecany.

Lepszy na cele leczniczę, niż Koniaki francuskie, z których największa część z powodu wyniszczenia winnic przez filokserę, tworzy się ze spirytusu kartoflanego.

Tańszy, gdyż nie ciąży na takowym wysokie cło i transport około 2 rs. z butelki, otrzymać można wyłącznie w Składzie Win **BRACI KEMPNERÓW Długa Nr. 5.**

Cena: 1/1 but. rs. 1,50, 1/2 k. 80, 1/4 k. 40. Skrzynki po 6 butelek wysyłają się do wszystkich St. Dr. Ż. franco w Królestwie po rs. 9.

MAGAZYN

Ubiorów Mezkich

P. KRĘPSKIEGO

ulica Kotzebue Nr. 11 (Hotel Brühlowski),

w Warszawie.

Newskie NICI

NEWSKA NICIANA MANUFAKTURA ST. PETERSBURG N. P.

PERSPEKTYWKI

TEATRALNE I POLOWE

ze szkłami achromatycznemi, oprawne w skórę, kość słoniową, konchę perłową z korpusem niklowym, oksydowanym lub alluminiowym, w wielkim wyborze **po cenach najniższych** w Magazynie Optyczno-Mechanicznym

Juljana Drehera

Szpitalna 6, w Warszawie.

Uwaga. Zakład otrzymuje **stale** binokle i okulary z zagranicznych fabryk w najświeższych fasonach i gatunkach.

Kotzebue Nr. 2, w Warszawie.

Magazyn Ubiorów Dziecinnych

S. Przezdzieckiego

ul. Kotzebue Nr. 2 (róg Wierzbowej).

Bandaże rupturowe

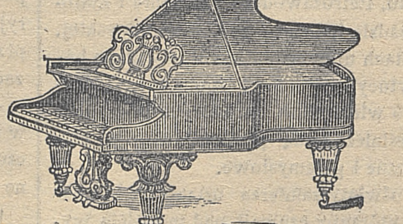
Suspensorya, Woreczki hygieniczne, Gąbeczki ochronne, Irrygatory i t. p. przedmioty **najtaniej** w Magazynie Optyczno-Chirurgicznym **JULJANA DREHERA, Szpitalna Nr. 6.** Zlecenia z prowincyi wysyłają się za zaliczeniem.

GEBETHNER i WOLFF

NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Fortepianów i Pianin

☞ Sprzedaż na raty. ☜



Wynajem instrumentów.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

F. Drechsler Warszawa, Leszno 14.



ROWERY od rs. 125—250. BICYKLE od rs. 100—220.

Używane welocypedy od rs. 50.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 8 Іюня 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.